



Patricia Burroughs



*Nowojorski
skandal*

Prolog

Nowy Jork, wczesne lata siedemdziesiąte

Siedmioletnia Paisley zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów i spojrzała za siebie. Po drugiej stronie ulicy potężne żelazne kraty broniły wejścia do wspaniałego, starego parku. Saffron mówiła o nim Gramercy Park. Dla Paisley było to pierwsze zielone miejsce, jakie ujrzała od chwili przyjazdu do Nowego Jorku.

- Nie zniosę tego - odezwała się Saffron do Moonchilda, a jej długie, złote włosy rozsypały się po karku. - Będą nieszczęśliwi, a ja w żaden sposób nie zniosę tego.

- Są zbyt uprzejmi, by to okazać. - Moonchild potarł czarną brodę. - A poza tym teraz, kiedy mam szansę uzyskania kredytu, trochę biadolenia z ich strony możemy chyba znieść, zgodzisz się ze mną?

Drzwi frontowe otworzyły się raptownie i stanął w nich wysoki, stary mężczyzna.

- Witaj, Burns - pozdrowił go Moonchild. Paisley podbiegła i przytuliła się do jego opiętej dzinsami nogi, lecz nie pogłodził jej po głowie, nie uczynił też żadnego innego uspokajającego gestu, jak zapewne zrobiłyby to kobiety-matki w jej domu, w Nirwanie.

Stary człowiek spojrzał na nich z niedowierzaniem.

- Pan Reggie, panienska Candace, czy mnie oczy nie mylą?

Saffron wyszła naprzeciw, odpowiadając mu głosem niezwykle lekkim i radosnym.

- Domyślam się, że stare smoki zebrały się już i ostrzą teraz swoje pazury.

- W bawialni - rzekł Burns. - Witam w domu, panie Reggie i panienko Candace. - Potem jego spojrzenie powędrowało ku Paisley. - A to kto?

Moonchild trącił Paisley łokciem i dziewczynka potknęła się podążając za kwiecistą spódnicą Saffron do obszernego holu. Na ścianach wisiały portrety starych ludzi, a na maleńkim, smukłym stolyczku stała wypełniona kwiatami waza.

Przykucając, Saffron chwyciła Paisley za ramiona. Jej duży ciężarny brzuch wyraźnie rzucał się w oczy.

- Zostaniesz, dopóki cię nie zawołam, rozumiesz?

Paisley niechętnie kiwnęła głową. Burns spojrzał na nią podejrzliwie, jakby spodziewając się, że może zostawić po sobie kałużę błota. Czyżby nie wydawała się mu wystarczająco czysta? Pamiętała jeszcze, ile bólu zadała jej Saffron poprzedniego wieczoru, rozczesując jej poplątane włosy i szorując bez końca w zimnej, motelowej łazience. Paisley poczuła, jak jej żołądek zwija się w ciasny węzełek. Nigdy w Nirwanie nie miała takich sensacji. Dlaczego Saffron i Moonchild zabrali ją nagle od innych dzieci i od kobiet, które kochały je i opiekowały się nimi wszystkimi?

Saffron nie była kobietą-matką. Była kobietą-przywódcą i wspólnie z Moonchildem kierowali komuną. Nigdy przedtem nie zajmowali się nią. Dlaczego musieli zrobić to teraz?

Gdy trzymając się za ręce, Saffron i Moonchild stanęli w progu, głosy w pokoju ucichły. Potem usłyszano okrzyk kobiety.

- Candy, kochanie! Candy, ty jesteś...

- Tak, mam, jestem w ciąży.

- Och, Candy, jak mogłaś?!

Paisley nie chciała tego słuchać. Poczowała w sercu pustkę i zatęskniła nagle do liści, drzew i krzewów, orzeźwiającego deszczu, śmiechu innych dzieci.

Zieleń rozciągała się poniżej szerokich schodów i po drugiej stronie ulicy. Kraty nie zdołają jej powstrzymać. Zakręciła się na pięcie i pobiegła w stronę dużych, białych drzwi.

Zaczepiła ręką o coś twardego i zanim zdążyła krzyknąć, wysmukły stoliczek zwałił się na podłogę. Woda z kwiatów rozprysnęła się wokół, a ją zabolął skaleczony do krwi palec. Przerażona próbowała podnieść stoliczek i zebrać kwiaty.

Wszyscy wysypali się do holu.

- Co się stało, na Boga?!

- Stojak na paprocie prababci Edwiny! Przez chwilę panowała cisza.

- Och, ty mała ciamajdo! Nie ruszaj się! - rozkazała jej Saffron, odgarniając pasmo włosów z twarzy Paisley.

- Popatrzcie na nią - odezwał się ktoś. - Te włosy, usta... Tylko tego nam potrzeba. Kolejny skandal w rodzinie Vandermeirów i... te oczy.

Paisley zadrżała na dźwięk tego nowego, ponurego i przerażającego głosu. Na szczycie stromych schodów stała szczupła, stara kobieta w obszernej, czerwonej sukni.

- Nie chowaj twarzy, moja mała szelmo – odezwała się dama - chcę ci się przyjrzeć. - Nie padło ani jedno słowo, gdy zstępowała na dół, trzymając wysoko cygarniczkę; brzeg sukni ciągnął się za nią po ziemi.

- Ciociu Izadoro - powiedział Moonchild - dziecko jest przerażone. Myślę, że to nie najlepszy moment, żeby...

- Ty myślisz? - Stawiając nogę na ostatnim stopniu, kobieta zaciągnęła się mocno papierosem. Gdy wypuściła dym, Paisley zauważyła unoszące się w powietrzu magiczne kóleczka przybierające dziwne kształty. - Reggie, mały kłownie, przecież ty nigdy nie myślisz. W tym właśnie tkwi problem.

Skierowała się w ich stronę. Jej kruczoczarne włosy odgarnięte były do tyłu. Na palcach mieniły się złote kosztowne pierścienie. Pachniała różami, naftaliną i dymem. Paisley bezwiednie pochyliła się do przodu pragnąc raz jeszcze usłyszeć ten głos.

Sękata ręka ujęła jej podbródek. Pomarszczona, stara twarz z dwiema jasnoczerwonymi plamami na policzkach znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej oczu. Paisley bez jednego mrugnięcia wytrzymała spojrzenie starej damy, spoglądając w jej oczy, równie ciemne, jak własne.

- Ona jest jedną z Vandermeirów - oznajmiła ostatecznie stara kobieta. - Ślub musi się odbyć jak najszybciej, ale i tak będzie już za późno dla tej małej, prawda? - Ogarnęła wzrokiem rozsypane po podłodze szczątki, wyblakłą suknię Paisley i zmięte kwiaty w jej ręku. - Rzuć to, moja droga. Zajmie się tym ktoś inny. To jeden z przywilejów bogactwa. - Uniosła w górę brwi posyłając znaczące spojrzenie ponad głową Paisley. - Czyż nie mam racji? - Ujęła Paisley za rękę i pociągnęła do przodu. - Jak masz na imię?

- Paisley - szepnęła dziewczynka.

- Paisley - powtórzył ktoś za nią przenikliwym szeptem.

- Paisley... Paisley Vandermeir - ogłosiła władczo stara dama. - Brzmi ładnie. Mnie możesz nazywać ciocią Izzy. Uważaj, żebyś nie nakapała krwią na aubussona - starsza pani wskazała cygarniczką na dywan.

- Nigdy dotąd nie miałam cioci - powiedziała cicho Paisley.

- Teraz będziesz ich miała aż nadto - odrzekła ciocia Izzy prowadząc ją za rękę. - Czy lubisz słodczyce? Oczywiście, że tak. Może powinnam cię nakarmić? A może przypadkiem grasz w chińczyka? Nie stójcie tak - ciocia Izzy przemówiła do zneruchomiałych w holu osób. -Młoda Paisley i ja mamy sobie wiele do powiedzenia o naszych planach, marzeniach i obawach. Chyba przydałaby mi się brandy. Czy piłaś kiedyś brandy, moja droga?

- Ciociu Izadoro! - zaprotestował Moonchild.

- A może wam wszystkim dobrze zrobiłaby szklaneczka brandy - ostro odpowiedziała ciocia Izzy - skoro wróciliście już do przytomności. - Objęła ramieniem Paisley, przytulając ją lekko. - Do mnie już należy dopilnowanie, by to drogie dziecko nigdy jej nie utraciło.

Podczas gdy pozostali wciąż tkwili jeszcze w oszołomieniu, Paisley podążyła na górę za ciocią Izzy, nie oglądając się za siebie.

Rozdział pierwszy

Nowy Jork, osiemnaście lat później

Ach, ta wielka sala balowa w hotelu Waldorf! Tak wygodna. Tak tradycyjna. Tak typowa dla Maitlandów.

Christopher Quincy Maitland oparł się o udekorowany draperią filar, spoglądając na salę znad kieliszka szampana. Tancerze wirowali na błyszczącej posadzce - bez jego udziału, dzięki Bogu. Zamierzał w pełni wykorzystać tę rzadką chwilę, zanim znów będzie musiał wrócić do roli gospodarza.

W młodości wiele razy spełniał podobną funkcję i z wielką chęcią wywinał się od dalszych obowiązków, wyjeżdżając do Chicago. Tym razem nie mógł jednak odmówić. Przyjęcie wydane na cześć jego siostry otwierało nowojorski sezon, którego kulminacją, w połowie grudnia, miały być oficjalne prezentacje na Zgromadzeniach Juniorów i Międzynarodowych Balach Debiutantek.

Nagle wyprostował się czując dziwny niepokój.

Szukając przyczyny swego napięcia ogarnął wzrokiem zatłoczoną salę, wypatrując siostry. Anna, jak zwiewny obłok w białej koronkowej sukience, tańczyła schowana w ramionach jakiegoś młodego mężczyzny, zbyt zapewne niedojrzałego, by docenić ten klejnot. Chris kiwnął w ich kierunku głową, czując ogarniającą go dumę.

Słodka Anna. Dziś był jej dzień i nie zrezygnowałby z uczestnictwa w nim, nawet gdyby w zamian ofiarowywano mu wszystkie udziały zbożowe świata. Ale jednak nie potrafił zupełnie nie myśleć, jak też kształtowała się cena afrykańskiego prosa na dzisiejszej sesji giełdowej. Hemmings

prawdopodobnie był jeszcze w biurze. Nie, nie dzisiaj. Wrócił myślą do tancerzy oświetlonych kryształowym żyrandolem zawieszonym dziesięć metrów nad nimi.

Na moment przypomniał mu się taniec sprzed ponad dziesięciu lat, gdy to on wirował na tej sali unosząc w ramionach Lydię. Oczywiście, Lydia dużo chętniej grzebałaby się w błocie szukając kości dinozaurów, wbita w wysokie buty i kombinezon, niż tańczyła w sukni specjalnie dla niej zaprojektowanej i w pantofelkach na wysokich obcasach.

Jakieś poruszenie przy wejściu na salę sprowadziło go z powrotem na ziemię, a jego niepokój przybrał wyraźny kształt.

Kształt nie znanej mu kobiety.

Stała kilka metrów dalej, pomiędzy dwoma marmurowymi kolumnami; z jej sylwetki zdawały się emanować elektryczne iskry. Nie nazwałby jej piękną, czy nawet ładną. Było w niej coś dramatycznego; delikatne muśnięcie czerni...

Pomimo muzyki, dyskretnego śmiechu i toczących się wokół rozmów, wszystko nagle dla Chrisa ucichło, jakby każdy z obecnych wstrzymał na chwilę oddech.

Kobieta gwałtownym ruchem wzięła kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. Ujęła wdzięcznie kryształową nóżkę w lewą rękę, podczas gdy w prawej błyszcząca śmiesznie długa cygarniczka z hebanu. Słowo z innego zupełnie świata zawirowało w umyśle Chrisa - wamp.

Włosy z przyciętą krótko grzywką okalały jej twarz jak lśniąca, czarna czapeczka. Nosek miała prosty, lekko zadarty; Chris spodziewał się na nim

piegów, ale nie dojrzał żadnego. Drobne i zmysłowo wygięte wargi pokryte były połyskliwą soczystą czerwienią szminki.

Jej oczy - duże, ciemne i błyszczące pod łukami czarnych brwi - spojrzeniem docierały do samego serca. Chris zauważył, że kieliszek szampana trzyma w śmiertelnym niemal uścisku. Wyczuwał otaczające ją niebezpieczeństwo, ale przyciągała go lub raczej intrygowała -a już od dawna nic nie działało na niego w ten sposób.

Nagle czar prysł, zmacony gwałtownym wtargnięciem piszczącego, białego obłoku, gdy Anna, przemierzając wyłożoną miękkim dywanem podłogę, zarzuciła ramiona na szyję tego spóźnionego gościa.

Chris napotkał spojrzenie matki. Dostrzegł w nim starannie maskowany niepokój, spojrzenie, które widział już przy wielu innych okazjach. Oczami mówiła mu: zajmij się tym.

- Kit! - zawołała Anna. - To Paisley, przyjechała!

Paisley. Zrozumiał nagle niepokój matki. Paisley mogła być tylko jedna.

Żonglując kieliszkiem i cygarniczką w jednej ręce, Paisley władcym gestem wyciągnęła drugą do przywitania. Zupełnie rozkoszna, pomyślał, gdy spotkały się ich spojrzenia. Ale w jej oczach dostrzegł panikę; zbladła, jakby zobaczyła ducha.

Odzyskując siły, spuściła wzrok i zamruczała głosem równie gardłowym, co zmysłowym.

- Paisley Vandermeir.

- Bardzo mi miło. - Pochylił głowę w ukłonie, gdy musnęła jego dłoń czubkami palców.

- A to, Paisley, jest mój najdroższy, najukochańszy brat, Kit - paplała dalej Anna, najwyraźniej nieświadoma wzrastającego napięcia.

- Chris - poprawił ją z uśmiechem. - Jestem również jedynym bratem Anny.

- Wiem - powiedziała Paisley poważnie. - Zdecydowanie wyglądasz na Maitlanda.

- Nikt nie mógłby wątpić, że ty należysz do Vandermeirów.

- Całe szczęście - zgodziła się. - Chociaż, oczywiście, są i tacy, którzy chcieliby temu zaprzeczyć.

Odwróciła się od niego i przytuliła policzek do Anny, szepcząc:

- Za nic nie opuściłabym twojego przyjęcia, kochanie. A później wmieszała się w tłum, pozostawiając za sobą rozpromienioną Annę i zamyślnego Chrisa.

- Czy nie jest cudowna? - westchnęła Anna. Chris przytaknął jej z chęcią.

- Skąd ją znasz?

- Jest siostrą Lexie - wyjaśniła Anna. - Znasz Alexandrę, moją najlepszą przyjaciółkę? - Potrząsnęła głową. -Doprawdy Kit, czyżbyś nie czytał moich listów?

- Oczywiście, że czytałem, kochanie. A czy tam, pod ścianą jakiś młody człowiek nie czeka właśnie, by zatańczyć z tobą?

Anna uśmiechnęła się i odeszła.

Samotny już obserwował przesuwaną się wśród tłumu gości i uświadomił sobie, jak błędne było jego pierwsze wrażenie. Nie wydawała się już delikatnym muśnięciem pędzla, ale raczej wykrzyknikiem. Od chwili jej przyjścia cała sala stała się jaśniejsza i weselsza.

- Kit, mój drogi...

Ton głosu matki sprowadził go z powrotem na ziemię.

- Skąd to zatroskanie? - zapytał.

Matka mocno schwyciła go za nadgarstek, gdy jej spojrzenie podążyło za wzrokiem Chrisa ku kobiecie w czerni.

- Bezwstydna. Zupełnie bezwstydna. Podczas gdy Izadora, według wszelkich pogłosek, spoczywa na łożu śmierci. Nie powinnam pozwolić, by Anna utrzymywała stosunki z tą rodziną.

- Jest trochę dziwna, prawda? - Nie potrafił oderwać od niej wzroku, gdy torowała sobie drogę przez tłum. Jej wyszywana cekinami suknia była zdecydowanie cenna i piękna, ale niestosowna na tę okazję. Przy każdym kroku brzeg tkaniny falował wokół stóp jak czarna mgła.

- Dziwna nie jest właściwym słowem.

- Mamo, rozumiem, że ją zaprosiłaś, nie powinnaś się więc dziwić, że przyszła.

- Musiałam ją zaprosić, ale z ulgą przyjąłem jej odmowę.

Chłodny ton głosu matki mówił wiele o tym, o czym powiedzieć otwarcie nie pozwalało jej dobre wychowanie. Paisley Vandermeir nie przyjęła zaproszenia, po czym się zjawiała. Nieprzyzwoicie spóźniona, ubrana jak hollywoodzka gwiazda, przechadzała się po sali, robiąc wrażenie zagubionej i pijanej. Skupiała na sobie uwagę wszystkich. To zrozumiałe, że matka była niespokojna.

- Szczerze mówiąc, mamo, małeńki skandal w stylu Vandermeirów mógłby jedynie ożywić dzisiejszy wieczór. - Jeden rzut oka na jej znieruchomiałą twarz sprawił, że szybko dodał: - Ale nie martw się. Zajmę się nią.

Pogładził rękę matki, po czym ruszył dalej, w duchu raz jeszcze gratulując sobie właściwego wyboru. Podejmując pracę w chicagowskiej filii rodzinnej firmy maklerskiej, zamiast pozostawać w Nowym Jorku, uniknął tej bezsensownej, lecz ciągłej presji towarzyskich konwenansów.

Gdy Chris dotarł do Paisley słyhać było już pierwsze takty walca.

- Czy mógłbym prosić o ten taniec? - Wyjął z jej ręki kieliszek szampana, wciąż jeszcze pełny. - Pozbądźmy się tego.

Wyrwała mu kieliszek.

- Nie musisz się martwić. Nie piję. Potrzebowałam czegoś, czego mogłabym się trzymać, to wszystko. I nie przyszłam tu, żeby tańczyć.

- Oczywiście, że po to przyszłaś - odparł, cały czas świadom spojrzeń, które na sobie skupiała.

Raz jeszcze udało mu się odebrać jej kieliszek i odstawić go na tacę przechodzącego kelnera, zanim zdążyła zażądać zwrotu. Ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. Zręcznym, tanecznym przejściem prowadząc ją zgrabnie, wmieszał się w tłum, pamiętając cały czas, że wszyscy ich obserwują.

- Jestem pewien, że nie przyszłaś po to, by wywołać skandal.

- Nie, w żadnym razie - pośpieszyła z odpowiedzią, a w jej oczach malowała się lekka panika.

- To dobrze, spróbujmy więc wtopić się w tło, co ty na to?

Poddając mu się w tańcu skupiła wzrok na jakimś niewidzialnym punkcie w głębi sali. W jego ramionach wydawała się tak krucha, tak delikatna, jak drobina najcieńszego szkła, obłoczek mgły, pajęczyna. Odpowiadając jakby samej sobie, zamruczała:

- Nigdy nie staram się zniknąć w tłumie. Objął spojrzeniem jej strój.

- I zadajesz sobie przy tym tyle trudu. Zatrzymała się; on też się zatrzymał. Pary wirowały wokół nich.

- Nie przyszłam tu, aby tańczyć - powtórzyła, a w jej głosie nie było już tych wibracji, które wywoływały w nim drżenie. W zagłębieniach policzków, w ciemnych cieniach pod oczami malowała się rozpacz.

- A więc po co przyszłaś?

- Muszę odnaleźć kogoś. Ale nie widzę go...

Jego. Oczywiście. Przy kobiecie tak kuszącej jak Paisley koniecznie musiał być jakiś on.

- Naprawdę nie powinnam być tutaj, ale ona kazała mi przyrzec, widzisz... - Paisley urwała zmieszana.

Chris zauważył, że jej oczy napełniają się łzami. Nie miał najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło, ale umiał poznać, kiedy ktoś był w prawdziwych tarapatkach. I jeśli się nie mylił, to Paisley Vandermeir wolała odegrać swą tragedię samotnie. Zrecznie sprowadził ją z parkietu. Potem ujmując jej ramię nonszalancko skierował ją ku lodowej rzeźbie.

- Musiałam przyjść i przynieść to. - Schwyciła go za rękę; jej zimne palce drżały. - A potem... potem tak bardzo się stremowałam, gdy zobaczyłam ciebie. - Opuściła i wzrok, i rękę. - Jesteś do niego bardzo podobny, prawda? No, ale oczywiście nie jesteś nim.

- Kim?

- Twoim dziadkiem.

- Dziadkiem Quincy! - zaśmiał się Chris. A więc jednak nie przyszła tu dla kochanka. Choć było to dla niego zaskoczeniem, poczuł ulgę. - Dziadka

Quincy nie ma tutaj. Został w domu razem z babcią. Nie czuła się wystarczająco dobrze, by uczestniczyć w dzisiejszej uroczystości.

- A więc... niepotrzebnie przyszłam.

Paisley zamknęła na chwilę oczy. Sięgnęła do torebki, wyjmując stamtąd złożoną białą chusteczkę, którą wcisnęła mu w dłoń.

- Proszę oddaj to swojemu dziadkowi. Powiedz mu... powiedz, że jest to pożegnanie od Izzy.

Był zbyt zaskoczony, by w jakikolwiek sposób zareagować. Otworzył rękę i zauważył wyszyte białym jedwabiem „Q”, zobaczył też, że Paisley patrzy na niego.

- Tak bardzo jesteś do niego podobny. -I zanim zdążył ją zatrzymać odeszła, zostawiając po sobie dziwną pustkę.

- Znakomicie się spisałeś, Christopherze. Chris obrócił się, słysząc głos matki.

- Nie wywołała burzy, prawda?

- Nie jestem tego taki pewny - powiedział zachmurzony.

- Cóż takiego dała ci, kochanie?

Pokazał jej zawiniątko i z wyrazu twarzy wiedział już, że rozpoznała monogram dziadka Quincy.

- Poprosiła mnie, żebym oddał to dziadkowi - odpowiedział, rozginając fałdy, by ujrzeć skryty w nich sekret.

Wewnątrz leżała broszka, mieniąca się tysiącem ogni. Egipski skarabeusz; plastikowe ciało chrząszcza przyozdobione błyszczącymi czerwonymi, zielonymi i przezroczystymi kamieniami.

- Kicz - powiedziała z niesmakiem.

- Jak sądzisz, dlaczego zależało jej, by dostał to dziadek Quincy? - zapytał. Ale gdy pakował już broszkę, ogarnęła go fala wspomnień... szeptów o skandalu, o romansie dziadka Quincy z... z... Izadorą Vandermeir.

- Dobry Boże! - Wepchnął chusteczkę głęboko do kieszeni. Dziadek Quincy o srebrnych włosach, twarzy usianej miękkimi zmarszczkami, sama dobroć. Wydawało się to niemożliwe, a jednak w starych historiach musiało tkwić ziarno prawdy.

- Christopher, nie pozwól, żeby ktokolwiek to zobaczył. - W głosie matki brzmiało napięcie. - Nie wiem, co robić.

- Nie martw się, mamó - pogładził jej ramię - wracaj na przyjęcie i baw się dobrze. Zajmę się wszystkim.

Ale zanim Chris miał okazję, by o tym pomyśleć, pojawiła się przed nim Anna, cała zwiewna i szczebiocząca.

- To ostatni taniec przed kolacją, Kit. Musisz ze mną zatańczyć.

Patrząc na jej śliczną buzię i wiedząc, jak boleśnie odczuwała nieobecność ojca na tej uroczystości, poprzysiągł sobie resztę wieczoru poświęcić tylko siostrze.

Zanim Paisley dotarła do drzwi swojego mieszkania policzki miała mokre od łez. Jej serce było ściśnięte od momentu, gdy weszła na salę balową i ujrzała Chrisa.

Zamknęła drzwi na klucz i przytuliła czoło do twardej, zimnej powierzchni mając nadzieję, że ból przeminie.

Powoli przeszła przez pokój, opadając ostatecznie na mahoniowy fotel, z którym związanych było tak wiele wspomnień. Włączając lampę, potrąciła ręką zwisające z abażura frędzle i kolorowe tęcze zabłysły na niej, na

podłódze, na ścianie. Dżety sukni kaleczyły jej uda, ale była zbyt zmęczona, żeby wykonać jakikolwiek ruch.

Te ostatnie tygodnie, pełne oczekiwania, zdawały się ciągnąć w nieskończoność... lecz koniec wreszcie nadszedł. W szpitalu, przy śmierci Izadory była tylko Paisley...

To dziwne, że ostatecznie okazały się tak pokrewnymi duszami. Mała dziewczynka i stara kobieta z zupełnie różnych światów. Pierwsze lata życia Paisley spędziła w Nirwanie, jako jedno z wielu dzieci wychowywanych i karmionych przez troskliwych opiekunów, którzy byli jej rodzicami. Po przyjeździe do Nowego Jorku jej wychowaniem znów zajęli się liczni opiekunowie, przeróżne nianie i wychowawcy w internatach. Tylko Izadora potrafiła dojrzeć pod zuchwałą maską drżącą małą dziewczynkę. Tylko Izadora pospieszyła jej na pomoc.

A teraz, Izadora Vandermeir, po długich latach walki przegrała ostatecznie bitwę. Miała tylko jedno życzenie. Aby drobiazg, który przechowywała całe życie jako dowód prawdziwej miłości, wrócił do ofiarodawcy.

Paisley zamknęła oczy i raz jeszcze zobaczyła pod powiekami jego.

Na krótką, szaloną chwilę zapomniała o swoim kredo: nigdy nie ufaj mężczyźnie w smokingu skrojonym na miarę. Spojrzała w oczy Christophera Quincy Maitlanda, w te spokojne niebieskie oczy ocienione prostymi liniami brwi i falą jasnych włosów... i przez sekundę poczuła ukłucie w sercu.

Wiedziała, że nie powinna mu zaufać. Nie spędziła w sali balowej nawet piętnastu minut, gdy tanecznym krokiem wyprowadził ją za drzwi. Wydawał się przejęty, prawie troskliwy, ale przeżywszy kilka lat wśród

smoków wiedziała już, że głupotą byłoby dać się zwieść tym sympatycznym gestom.

Teraz, już po wszystkim, była zła na siebie za tę chwilę słabości, gdy spotkały się ich spojrzenia i prawie że uległa impulsowi, który kazał jej przytulić się do tego mężczyzny... i wybuchnąć płaczem.

Wzięła w drżące dłonie stojący na stoliczku obrazek w miedzianej ramce. Nic dziwnego, że wydał się jej znajomy. Uśmiech Christophera Maitlanda był odcisnięty w jej umyśle, niczym ostrzeżenie przed pułapkami losu czekającymi na kobiety, które odważyły się kochać.

Nie. Nie na wszystkie kobiety. Tylko na niektóre z rodu Vandermeirów naznaczone piętnem skandalu przekazywanym z pokolenia na pokolenie, także Paisley przez ciocię Izzy.

Paisley przyglądała się czarno-białej fotografii. W rozbawionym tłumie widać było profil młodej dziewczyny patrzącej z uwielbieniem na swego śmiejącego się towarzysza. Gdy przyglądała się dłużej dużym, ciemnym oczom dziewczyny, jej kruczoczarnym włosom, czarnej, nabijanej cekinami sukience i trzymanej w ręku cygarniczce, Paisley miała wrażenie, że ogląda w lustrze swoje własne odbicie.

Przeniosła wzrok na mężczyznę w nienagannie skrojonym garniturze, który obejmował dziewczynę ramieniem, a w drugiej ręce trzymał kieliszek. Poniżej prostej linii brwi, pod falą jasnych włosów błyszcząły zuchwałe oczy. Nic dziwnego, że wydał się jej znajomy. Christopher Quincy Maitland był wiernym odbiciem swego dziadka. Izzy i Quin. Niesamowici i nierzeczywiści, złączeni na zawsze wczorajszym śmiechem i namiętnością, która przetrwała wszystkie te lata, mimo tego, co wydarzyło się w ich życiu.

Nawet teraz, ponad pół wieku później, w utrwalonej na fotografii chwili wyczytać można było ich przeznaczenie: na serdecznym palcu lewej ręki mężczyzny lśniła ślubna obrączka, czwarty palec lewej ręki dziewczyny był pusty.

RS

Rozdział drugi

Chris znalazł się w słabo oświetlonym holu, jego kroki tłumił miękki, bordowy dywan. Kolory i wystrój wnętrza były typowe dla domu pogrzebowego - bogate, stonowane i kojące; płynąca z głośnika organowa muzyka brzmiała równie ponuro.

Jego misja nie wydawała się szczególnie interesująca, ale nie mógł oprzeć się chęci ujżenia raz jeszcze czarującej, intrygującej i otoczonej złą sławą Paisley Vandermeir. Dlatego też znajdował się teraz w tym miejscu, zamiast ślęczeć nad faxami przesłanymi przez Hemmingsa, z aktualnymi notowaniami giełdowymi. Na to znajdzie jeszcze czas podczas lotu powrotnego do Chicago.

Przemierzył kilka pokoi, szybko przebiegając oczami umieszczone tam tabliczki z nazwiskami i odnajdując tę, której szukał. Wziął głęboki wdech, wyprostował się i wszedł do środka, zatrzymując się przy orzechowym pulpicie. Wyciągnął z kieszeni pióro i złożył podpis w księdze gości.

Ku jego wielkiemu rozczarowaniu nigdzie nie widać było Paisley Vandermeir. Jedyne... zmarła, otoczona kwiatami i świecami, oraz jeden samotny żałobnik spowity w czerń. Przypuszczał, że to jakaś starsza krewna. Było już jednak za późno, by wymknąć się niepostrzeżenie. Ze stoickim spokojem zbliżył się do zwłok, ciekawy, jak też wygląda ta osławiona Izadora. Ku swemu zdziwieniu nie ujrzał w jej twarzy nic szczególnego. Pochylił głowę z szacunkiem, po czym podszedł do pogrążonej w żalu krewnej.

- Tak mi przykro - odezwał się miękko w stronę owiniętej woalem twarzy - moje nazwisko Christopher Maitland. Przyszedłem tutaj w

imieniu... mojego dziadka, Christiana Quincy III. Był przyjacielem panny Vandermeir.

Kobieta w czerni nie odpowiedziała mu, choć wyczuwał jej badawcze spojrzenie. Cisza trwała już nieprzyjemnie długo, lecz w końcu żalobniczka wyciągnęła ku niemu dłoń. Była mlecznobiała, gładka i młodzieńcza; zrozumiał, że mylił się określając wiek tej damy.

- Dziękuję bardzo - usłyszał chłodny głos. - Z pewnością przekażę pańskie kondolencje reszcie rodziny.

- Paisley? - zapytał zdumiony. - Czy to ty?

Cofnęła rękę.

- Czy twój dziadek rzeczywiście cię przysłał?

Gdyby tylko mógł dojrzeć jej, oczy pod tym gęstym woalem.

- Nie. - W jakiś sposób wspomnienie jej oczu wypełnionych łzami nakazało mu szczerść. - Przyszedłem, ponieważ dowiedziałem się od twojego sąsiada, że jesteś tutaj i pozostaniesz przez cały dzień.

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi - powiedziała powoli - ale jestem pewna, że to ani właściwa pora, ani miejsce.

- Chyba nie - zgodził się. - Chciałem jedynie zwrócić ci to. - Z kieszeni płaszcza wyjął broszkę.

- To on... on to oddał? - Ręce jej drżały, gdy odbierała od niego klejnot. Zauważył, że te białe ręce i matowy, spokojny głos nie pasowały do powszechnej opinii o znajdującej się przed nim kobiecie.

Poczuł skruchę, ale nie odezwał się, pozwalając, by cisza skłamała za niego. W związku z chorobą babci nie chciał niepokoić dziadka tym, co musiało dla niego stanowić dość kłopotliwe wspomnienie. Postanowił więc sam zwrócić broszkę, nie budząc pamięci o starym skandalu.

- Tak bardzo jestem ci wdzięczna - szepnęła. - I dziękuję twojemu dziadkowi za zrozumienie. Być może ma rację. Być może... - wyprostowała się - on ma rację.

Dobry Boże, pomyślał Chris. W związku z czym to, dziadek Quincy ma rzekomo mieć rację?

- Wiem, co musimy zrobić,

- My?

Odrzuciła woal i ujrzał płonące podnieceniem oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i zdecydowanie zaciśnięte usta.

- Szybko, zanim ktoś przyjdzie.

Wstała i pospiesznie podeszła do trumny, choć wydawało się, iż nie ma ochoty spojrzeć do środka. Nagle odwróciła się i stanęła naprzeciw niego, podając mu broszkę.

- Czy mógłbyś zrobić to dla mnie i przypiąć tę broszkę cioci?

- Ja? - wykrztusił Chris śmiertelnie przerażony.

- Nie... - westchnęła. - Przypuszczam, że żądam zbyt dużo.

Z wielkim trudem odwróciła się znów do trumny. Chwyła dłoń Chrisa z zaskakującą siłą, której dodawał jej strach. Potem, wzięwszy niezwykle głęboki oddech, odważyła się wreszcie spojrzeć na ciało zmarłej. I kiedy już niemal całkowicie utracił czucie w palcach, rozluźniła uchwyt.

- Wiesz - szepnęła - nigdy nie widziałam cioci Izzy wyglądającej tak... tak...

- Spokojnie? - Spróbował jej pomóc.

- Dostojnie - poprawiła go - tak, dostojnie. - I ku jego zdziwieniu, zaśmiała się. - Och, bardzo dobrze spisałaś się, ciociu Izzy, dzielna dziewczyno. Wyglądasz tak elegancko, spowita w koronki. Kto mógłby się

domyślić, że ta szacowna dama ma pod spodem swoje ulubione hollywoodzkie dessous?

Chris uśmiechnął się nieznacznie. Mocny zapach goździków i topniejącego wosku, dłoń pięknej kobiety w jego dłoni... Czuł ogarniające go gorąco. Co też się z nim działo?

Ścisnęła jego rękę.

- Czy mógłbyś popilnować przez chwilę drzwi? Nie chciałabym, aby wszedł tutaj ktoś, gdy ja...

- Oczywiście. - Niechętnie uwolnił jej dłoń. Podszedł do drzwi, stając na straży pustego holu.

- W porządku - powiedziała - gotowe.

Wrócił do niej i spojrzał. Broszka spinała wysoki kołnierz lawendowej sukni Izadory Vandermeir. Całe szczęście, że tandetne, kolorowe kamienie zdobiły grzbiet skarabeusza, gdyż inaczej można by sądzić, że zwykły chrabaszcz pełza po szyi starej damy. Wzruszył ramionami, odsuwając na bok śmieszne rozważania. Zastanawiał się, czy ktokolwiek z obecnych doceni znaczenie broszki? Czy też, podobnie jak hollywoodzka bielizna, będzie ona tylko ostatnim dowcipem Izadory, prztyczkiem w nos, o którym wiedziała jedynie Paisley, a teraz także i on?

- Czy nie jest piękna? - zamruczała Paisley.

Nie patrzył już na Izadorę, przyglądał się za to długiej, smukłej szyi Paisley.

- To musi być cecha dziedziczna.

Pochyliła głowę, ale zauważył jeszcze, że delikatny rumieniec ożywił jej policzki.

- Wszyscy mówią, że jestem do niej bardzo podobna. - Położyła dłoń na martwym ciele. - To zabawne... - Jej głos załamał się na chwilę, przerwany śmiechem, czy łkaniem? Nie potrafiłby powiedzieć. - Jestem jedyną osobą, która uważa to za komplement.

Ujął jej łokieć.

- Czy nic ci nie jest?

- Czuję się dobrze. - Wyprostowała się, ale w jej głosie brzmiała niewypowiedziana prośba.

Wolał zawierzyć jej słowom. Musiał. Jego samolot odlatywał za niespełna dwie godziny, a on wciąż jeszcze nie był spakowany.

- Nie mogę uczestniczyć w pogrzebie. Odlatuję dziś wieczorem do Chicago. Ale jestem pewien, że przyjdzie ktoś z mojej strony.

Kto? Dziadek Quincy? - Omal się nie zakrztusił. - Z pewnością nie matka. Anna? Oczywiście Anna. Anna to zrobi, jeśli ją poprosi.

- Raz jeszcze dziękuję za przybycie. Jestem pewna, że miałeś na głowie wiele pilniejszych spraw. - Patrzyła na niego dużymi, piwnymi oczami, w których dostrzegał nie tylko ból, lecz przede wszystkim siłę.

Pomyślał przez chwilę o Hemmingsie, Chicago, zbożu i srebrze, i możliwym odwróceniu się fortuny całej rodziny, gdyby dziś pomylił się w obliczeniach i trochę dłużej zwlekał z decyzjami.

- Ależ skąd - powiedział miękko - nie był to dla mnie żaden kłopot.

Tydzień później Paisley włączyła stereo, po czym ułożyła się wygodnie w głębokim fotelu, przewieszając nogi przez poręcz. Jej wełniana purpurowa sukienka leżała zgnieciona na podłodze. Wciąż jeszcze miała na sobie miękki mały kapelusik, perłowy kołnierz i wysokie szpilki. Wiedziała, że wygląda dziwnie z podwiniętą do ud koronkową halką i opuszczonymi do

kolan pończochami. Zrzucenie z siebie sukni, a wraz z nią wspomnienia o ciężkiej, duszącej atmosferze biura notarialnego wydawało się konieczne. Ale po za tym nie mogła się zdobyć na nic więcej.

Zdała sobie sprawę, że ma osiem tygodni na spisanie dobytku cioci Izzy, za co otrzyma niewielką sumę z jej majątku - akurat tyle, by uchronić się od całkowitej nędzy. Trzy lata temu zrezygnowała z pracy w muzeum i ze swojego mieszkania, by poświęcić się całkowicie opiece nad ciocią Izzy. Wtedy nikt nie miał jeszcze pojęcia, jak marna była jej sytuacja, aż do momentu, gdy ciocia Izzy nie poszła do szpitala. Stało się dokładnie tak, jak życzyła sobie tego stara dama.

Moja mała rusałka...

Słowa zaszeleściły miękko w jej pamięci. Cóż inni mogli wiedzieć o darach, które zostawiła po sobie ciocia Izadora?

Paisley dopiero teraz zaczynała to lepiej rozumieć. Filozofia cioci Izzy była dosyć prosta: pieniądze i związane z nimi oczekiwania były dwiema przeszkodami na drodze do szczęścia.

Izadora Vandermeir pokonała te dwie przeszkody werwą i sprytem. Teraz nadeszła kolej Paisley.

- Walka ze smokami właśnie się rozpoczęła, ciociu Izzy. Dzięki Bogu nie ma cię tutaj, by zobaczyć, jak daleko jestem gotowa się posunąć. Mam zamiar uwolnić się od nich całkowicie, moja stara przyjaciółko - przemawiała Paisley do wypełniającej pokój pustki, podchodząc ku smukłemu stoliczkowi, na którym ciocia Izzy trzymała koniak. Oczekują skandalu. I będą go mieli. Ujęła butelkę i przechyliła ją pod światło. Na pewno wymyślę jakiś sposób.

Gdy walczyła jeszcze z woskową pieczęcią, zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Sok jabłkowy - mruknęła naciskając guzik domofonu.

- Paisley? Tu Christopher Maitland.

Poczuła skurcz w żołądku. Wspomnienie jego dotyku było dziwnie niepokojące i raz jeszcze zapragnęła oprzeć głowę na jego szerokiej, mocnej piersi. Ale on był jednym ze smoków, przypomniała sobie o tym i wzięła głęboki oddech, by uzbroić się przeciw jego czarowi.

- Chwileczkę - zawołała. Pochyliła się, podciągając pończochy.

Stwierdziła, że wypada się ubrać.

Chris przyglądał się uważnie chodnikowym płytom. To miejsce w niczym nie przypominało eleganckiego domu Vandermeirów w Gramercy Park. Wyjąca w oddali syrenę i głośnie trąbienie zagłuszała niemal całkowicie melodia Wagnerowskiej opery, dobiegająca z otwartego na pierwszym piętrze okna. O ile dobrze pamiętał, okno i rozdzierająca uszy muzyka należały do mieszkania panny Paisley Vandermeir. Z wykrzywioną boleśnie twarzą szykował się do czekającego go delikatnego zadania.

Wciąż jeszcze nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy dziadka, gdy powiedział mu o śmierci Izadory. Uświadomił sobie, że mimowolnie przeszkodził w wyrównaniu dawnych rachunków pomiędzy dziadkiem a zmarłą. Chciał uniknąć bolesnych wspomnień, nie wywoływać ich.

Teraz musiał naprawić to, co zepsuł i wcale nie był z tego powodu nieszczęśliwy. Wręcz przeciwnie, czuł dziwne zadowolenie znajdując pretekst, by odwiedzić Paisley, tę intrygującą, młodą kobietę.

Podnosił wzrok w stronę otwartego okna, gdy usłyszał zwalniający drzwi brzęczyk. Otworzył je i wszedł do środka. Zakurzony żyrandol -

pozostałość po czasach dawnej świetności, gdy budynek był jeszcze prywatną rezydencją - oświetlał wyłożony marmurową posadzką hol. Dwie miedziane skrzynki na listy przymocowane były jak do gipsowej ściany i dwie zwiędłe palmy stanowiły jedyną dekorację parteru. Brak wizytówki na drzwiach dowodził, że od dawna nikt tu nie mieszkał. Najwyraźniej Paisley i jej ciocia nie odczuwały potrzeby, by wynająć dół domu lub przynajmniej podlewać kwiaty.

Stąpając wolno po schodach wyłożonych spłóviałym dywanem zastanawiał się, w jaki sposób mógłby taktownie przeprowadzić swoją misję i odzyskać błyszczącego skarabeusza.

Pozostały mu jeszcze do przejścia trzy stopnie, gdy otworzyły się drzwi na górze i korytarz zalały ogłuszające takty opery. Zamarł na moment, z jedną ręką opartą na poręczu, przyglądając się szeroko otwartymi oczami stojącej u szczytu schodów kobiecie.

Z całej postawy Paisley Vandermeir, od czubka jej krótko obciętych włosów, aż po karminowe paznokcie, emanowała energia. Rozłożyła szeroko ręce - w jednej ścisnęła butelkę, w drugiej cygarniczkę - ukazując cały przepych haftowanego złotem chińskiego kimona.

- Wejdz! Wejdz, kochanie! - zawołała śpiewnie.

Nawet na szpilkach wciąż była jeszcze zbyt niska. Kimono ciągnęło się za nią po ziemi, gdy wprowadzała go do mieszkania. Przebywając kilka ostatnich stopni, Chris czuł się jakby wciągany do jej kryjówki. Wyprzedziła go i przekręciła gałkę gramofonu, hałas nie był już tak przytłaczający.

- Teraz lepiej, prawda?

Gdy odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć na niego, kimono nieco się rozchyliło; mignęła mu przed oczami obciśnięta jedwabną pończochą noga.

Trwało to tylko chwilę, lecz wystarczająco długo, by poczuł suchość w gardle. Starał się nie myśleć o tym, jak wielki kontrast stanowiła czerń podwiązki wobec bieli uda, czy też jak głęboko wycięty był jej dekolt.

- Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak wielką ulgą jest dla mnie twoja obecność tutaj - powiedziała z westchnieniem, wyciągając w jego kierunku butelkę. - Nie chciałbyś dopełnić ceremonii?

- Ceremonii? - Wziął z jej rąk butelkę i przeczytał wyblakłą etykietkę.

- A co to za okazja?

Wykonała nieokreślony ruch cygarniczką.

- To życzenie cioci Izzy.

- A więc jest to rzeczywiście niezwykła okazja - mruknął przypatrując się cudownie nietkniętej pieczęci z czerwonego wosku.

- Tak się cieszę, że to rozumiesz. - Z niezwykle oryginalnego stoliczka podniosła dwa pękate kieliszki. Stolik składał się ze srebrnej tacy podtrzymywanej przez miedzianą nimfę, której kobiece wdzięki skrywały pęki kryształowych winogron. Mebel był albo marzeniem kolekcjonera, albo owocem koszmarnej wyobraźni dekoratora. - Nie przepadam za brandy - ciągnęła Paisley. - Jest dosyć mocna, prawda? Izzy próbowała nauczyć mnie doceniać ten trunek, ale obawiam się, że poniosła całkowitą klęskę.

Przysięgam nigdy więcej nie kosztować tego płynu. Choć z drugiej strony...

- uniosła kieliszek ku wpadającemu przez okno światłu, ścierając z niego odrobinę kurzu - to może przesada. Nie sądzisz? - Przechyliła pytająco głowę. - Nie masz zamiaru jej otworzyć?

W blasku zachodzącego słońca jej wdzięczna sylwetka rysowała się wyraźnie pod cienką tkaniną i Chris nie był w stanie oderwać od niej oczu.

- Tak, tak, bardzo ostrożnie - odpowiedział dziwnie zmienionym głosem. Wdzięczny, że może zająć się przez chwilę alkoholem, Chris skierował wzrok na butelkę. Nie mógł odgadnąć, jaki zapach powita ich, gdy złamie pieczęć: bukiet godny bogów, czy też kwaśne opary zdolne wykręcić nos najtęższemu pijakowi. Zdrapał wosk odkrywając korek.

- Ciocia Izzy mówiła zawsze, aby nie używać korkociągu, jeżeli nie jest to konieczne.

- Ten korek pewnie się rozsypie i tak, ale postaram się zrobić, co w mojej mocy.

Spróbował wyjąć korek, który trzymał się mocno. Pociągnął odrobinę silniej i korek wysunął się nieco. Postanowił użyć trochę więcej siły.

- Oj! - Włosy Paisley opadły na policzki muskając jego kciuki, gdy pochyliła się nad butelką. - Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Nie stój tak nade mną - powiedział. - Denerwuje mnie to.

- Przepraszam. - Cofnęła się o krok, ale gdy znów zacisnął palce na korku, jeszcze raz pochyliła się nad nim. -Spróbuj przekręcić go lekko.

- Może wolałabyś zrobić to sama? - spytał Chris zadowolony z tej nutki irytacji w swoim głosie.

- O nie! Nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać. -Czerwonym paznokciem wskazała cienką niczym włos rysę na korku. - Po zastanowieniu uważam, że może lepiej go nie przekręcać.

Chris zgrzytnął zębami i jęknął. Korek wyszedł do połowy. Druga połowa rozkruszyła się do butelki.

- Spójrz, co zrobiłeś. Ty... ty... - Paisley podniosła na niego wzrok, po czym urwała nagle i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Znakomicie sobie poradziłeś! - Wzięła do ręki kieliszki i jej uśmiech stał się promienny. -Mam

nadzieję, że masz na to ochotę - powiedziała, przechylając butelkę, by napęścić pucharki złocistym płynem.

- W przeciwnym wypadku byłoby to straszliwe marnotrawstwo, nie sądzisz?

- Zdecydowanie mam na to ochotę. - Poczł wreszcie bukiet, który, na szczęście, nie przypominał octu. Wziął od niej kieliszek i wciągnął mocno zapach trunku.

- Za bogów - mruknął.

- Za ciocię Izzy. - Ich kieliszki zetknęły się delikatnie.

- Gdziekolwiek jest...

I cokolwiek miałyby na sobie - dodał Chris w duchu. Ale aksamitne ciepło starego trunku sprawiło, że zapomniał o wszelkich broszkach i dziadkach. **Przymknął** oczy delektując się smakiem.

- Wspaniały - westchnął. - O, tak! Masz rację.

Gdy otworzył oczy, zobaczył uśmiech na twarzy Paisley powoli sączącej brandy.

- Gdybym miała wypić to sama, zdecydowanie byłoby to marnotrawstwem. - Przechyliła głowę i dwoma łykami dopiła resztkę trunku. Potem wzięła głęboki oddech i zachichotała. - Ooops! - Przytknęła palec do ust. Gdy go odjęła, na palcu pozostał kawałek korka. - To, jak sądzę, ryzyko mistrza ceremonii. - Zaśmiała się raz jeszcze śmiechem równie złotym, jak brandy.

- Czy masz karafkę? Bo nie ma już czym zakorkować butelki. - Chris uświadomił sobie, że znów przygląda się Paisley, jej wilgotnym wargom, wypatrując drobinek korka, pretekstu, by jej dotknąć... skosztować.

- O, nie ma takiej potrzeby. Wypijemy to wszystko. -Paisley wyciągnęła w jego kierunku kieliszek. - Mogę prosić?

Chris spojrział na nią.

- Żartujesz, prawda?

- O, nie. Naprawdę chcę jeszcze. - Patrzyła na niego z rozbawieniem.

Nalał jej z umiarem. Zanim napełnił swój kieliszek, zdążyła się odwrócić i pobiec do jadalni, gdzie okno wychodziło na ogród. Usiadła na parapecie, podciągając stopy pod siebie. Obcisnięta jedwabiem noga odsłonięta była od kolana w dół; pozostałą część, aż po udo, wciąż jeszcze miał przed oczami. Zanurzyła usta w przejrzystym płynie.

- Proszę, przyłącz się do mnie. - Wskazała ręką leżącą obok niej poduszkę.

Chris okrążył rzeźbiony stół i usiadł przy Paisley. Okno było otwarte i od razu poczuł na plecach zimny powiew wiatru. Naciągnął mocniej sweter.

- Wiem, że jest chłodno, ale listopadowe noce i Wagner mają w sobie coś, co dodaje otuchy, nie sądzisz? - Zamyśliła się. - Potrzebowałam dzisiaj jakiegoś pokrzepienia.

- Wydaje mi się, że to po prostu taka noc. - Ale gdy obserwował, jak bawiąc się kosmykiem włosów patrzyła w niebo, jakaś wewnętrzna szczerłość zmusiła go do dodania: - Chociaż, rzeczywiście masz rację. W powietrzu unosi się coś pogodnego.

- Też to czujesz? Słuchałam bardzo, bardzo dużo Mahlera. Jego muzyka jest przygnębiająca, ale jakoś odpowiadała mojemu nastrojowi. I nagle wczoraj wyciągnęłam płyty Wagnera. Robiąc takie postępy, w przyszłym tygodniu będę słuchała już tylko Czajkowskiego. - Wiatr szumiał

za ich plecami, zadrżała, a potem zaśmiała się. -Choć może nie wygląda na to, ale jednak robię postępy.

- Lubisz muzykę?

- Czy lubię? - W zamyśleniu uniosła głowę. - Hm, sądzę, że nigdy specjalnie nie zastanawiałam się nad tym. Ciocia Izzy zawsze słuchała muzyki. Można by powiedzieć, że stanowiło to oprawę do jej nastrojów - zmarszczyła brwi. - Sądzę, że tak. To znaczy, lubię muzykę. A przynajmniej lubię hałas. Gdy jest cicho, czuję się... zbyt samotna.

Raz jeszcze Chris dojrzał w jej oczach błysk łez. Nie mógł patrzeć, jak żązarce walczy ze smutkiem, po to tylko, by ulec kilku taktom Wagnera.

- Mam pomysł. Zobaczmy, czy nie udałoby się przeskoczyć Czajkowskiego. Co jeszcze masz tutaj?

Wskazała rzeźbioną, antyczną szafkę.

- Płyty są tam. Izzy nigdy nie miała zaufania do kaset, a jeszcze mniej do kompaktów.

Chris przerzucał albumy uświadamiając sobie, jak niewiele wiedział o muzyce. Musiał ją rozweselić. Odłożył na bok tragiczne opery - przywodziły zbyt samobójcze myśli. Gdzie też skryli się bostońscy muzycy właśnie wtedy, gdy ich potrzebował?

Plamy wyblakłych pomarańczowo-czerwono-różowych spódnic na jednej z okładek zwróciły jego uwagę.

- Niech zgadnę. Znalazłeś Straussa?

Rzucił jej szybkie spojrzenie, zauważając, jak zwinnie kołysała nogą, oblizując z palca resztkę brandy. Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Mam rację, prawda? Jesteś zdecydowanie amatorem walców.

- Rzeczywiście. Zgadłaś. - Czuł, że usta wykrzywia mu zuchwały uśmiech. Wziął płytę i wyjął ją z okładki.

- Wiesz - odezwała się - zaczynam przekonywać się do brandy. Ciocia Izzy jak zwykle miała absolutną rację. Pije się ją cudnie. Mówiła mi zawsze, że dojrzeję do tego, to znaczy do brandy. - Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, kołysała się. - Prawdę mówiąc bardzo dobrze tańczę walca. A wiesz, jaki jest mój ulubiony taniec, którego nigdy nie tańczyłam?

- Jaki?

- Tango. Mój ulubiony, najbardziej ulubiony taniec i nigdy go nie tańczyłam. Takie to smutne.

Gdy napełnił kieliszki i oparł się o framugę okna, płyta była już założona. Igła dotknęła czarnego dysku i przez kilka sekund słychać było jedynie trzaski.

A potem, gdy odezwały się pierwsze takty, usta Paisley Vandermeir ułożyły się w idealne, słodkie „O”.

- To jest właśnie mój ulubiony taniec, którego nigdy nie tańczyłem - oświadczył Chris.

- Kankan? - spytała chichocząc.

Te chichoty działają, jak narkotyk, pomyślał Chris kiwając potakująco głową.

- Kocham to. - Zakołysała się gwałtownie na parapecie.

- Ostrożnie, rozlejesz...

- Ta, ta, ta-ta-ta-ta! - Gdy podniosła kieliszek i cygarniczkę, czerwone rękawy zsunęły się, odsłaniając miękkie, białe ramiona. W przeciwieństwie do francuskich tancerek nie musiała ścisnąć w palcach zwojów jedwabiu, by jej nogi mogły wysoko przecinać powietrze. Chrisowi od razu przyszedł na

myśl obraz Paisley tańczącej kankana w jedwabnym kimonie, gdy tylko odnalazł ten album. Nie mógł jednak przewidzieć, że tak czarowny będzie widok tych szczupłych nóg wyrzucanych w powietrze poprzez wąskie rozcięcie kimona. Ta fantastyczna wizja nieomal pozbawiła go tchu.

- Och, bosko! - westchnęła. - Jesteś jak tonik, Christopherze Maitland. Teraz wiem dokładnie, co czuła Izzy, gdy... - Zamarła nagle z wyciągniętą przed siebie jedną nogą.

- Gdy co?

- Nie wiem. - Wstała, wruszając ramionami. - Nie wiem, o czym myślałam. Nie wiem, o co mi chodziło, tylko że ja...

- Nic ci nie jest? - spytał przyklękając na jedno kolano.

- Skądże. Przyszło mi tylko do głowy... coś głupiego. Od brandy kręci się w głowie... Prawda?

- Co takiego pomyślałaś?

Patrzyła na niego czarnymi, błyszczącymi oczyma.

- Jak czuła się ciocia Izzy, gdy ona i Quin przeszli na tak swobodny ton - oderwała wzrok od jego oczu i potrząsnęła głową. - To głupie. Zapomnij o tym, co powiedziałam...

Uciszył ją przyciskając palec do jej ust, Obrysowując ich kształt, zamruczał: - Naprawdę tak myślisz? Naprawdę myślisz, że... czuli się w ten sposób?

I zanim zdążyła odpowiedzieć, zanim zdążyła się nad tym lepiej zastanowić, odnajdował już odpowiedź na inne dręczące go pytania: jaki był smak jej ust? Co będzie czuł trzymając ją w ramionach? Odpowiedź była zawsze ta sama - rozkosz.

Rozdział trzeci

Jej włosy były miękkie jak jedwab, jej ciało stało się przepyszny
wyzwaniem, gdy wtuliła się w niego i podała mu drżące wargi.

Smakowała brandy i solą... Solą?

Wzięła głęboki oddech i odepchnęła go lekko, ściskając swoją szatę
wysoko przy szyi, jej kieliszek zachwiał się niebezpiecznie. Nie wiedział, co
powiedzieć, gdy patrzył na spływające po jej policzkach łzy. Powiedział
więc coś najbardziej oczywistego:

- Rozlejesz...

- Och! - Szybkim ruchem podniosła kieliszek do ust i wypła resztkę
alkoholu. - Przepraszam. Tak mi głupio. Nie wiem, co się ze mną dzieje... -
stłumiła łkanie, przyciskając pięść do ust.

W tej chwili jego jedynym pragnieniem było usłyszeć, że to nie on był
przyczyną tych łez. Obserwował, jak ponownie napełnia swój kieliszek i
drżącą ręką unosi go do tych cudownych ust.

W końcu, gdy wydawało mu się, że wróciła już trochę do siebie,
zapytał:

- Czy coś się stało? To znaczy, czy przydarzyło ci się coś pechowego,
co sprawiło, że...

- Chcesz wiedzieć... co sprawiło, że wybuchnęłam płaczem, przy
pierwszej okazji, gdy dotknął mnie mężczyzna?

- Niezupełnie to...

- Ale tak się stało, prawda? - Sączyła alkohol zastanawiając się. -
Rzeczywiście coś przydarzyło mi się dzisiaj, ale czy było to pechowe, to się
jeszcze okaże. Odczytano testament cioci Izzy.

- Tak mi przykro powiedział, w duchu dziękując Bogu, że nie musi czuć się winny.

- Jego warunki były uczciwe, lecz nie tak szczodre, jak oczekiwała tego moja rodzina. Ojciec chce, żebym podważyła testament. - Gdy pociągnęła nosem i wstrząsnęła głową, w jej oczach dojrzał nagle łobuzerski błysk. - Powiedziałam mu, że może się wypchać.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Brawo, panno Vandermeir - uniósł w górę kieliszek. - Brawo!

- Czyżbyś uważał, że oni nie mają racji?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Chris wzruszył ramionami, wbijając ręce w kieszenie, gdy tak naprawdę pragnął dotknąć dłońmi jej twarzy, zderzyć z niej smutek i zanurzyć palce między czarne, błyszczące pasma włosów. - Ponieważ potrzebujesz wsparcia, ponieważ wyglądasz tak niebiańsko i cudownie jest trzymać cię w ramionach uważam, że będzie bardzo niedelikatnie wywierać teraz na ciebie jakąkolwiek presję. Jest jeszcze zbyt wcześnie. Pod wpływem emocji nie podejmuje się mądrych decyzji.

- Jakie to trafne. - Stała prosto, górując nad nim, dopóki i Chris się nie podniósł. - Naprawdę byłoby lepiej, gdybyś mnie nie pocałował. To jest w pewien sposób podobna sytuacja, nie sądzisz?

Co mógł jej odpowiedzieć? Nie wiedział, jak się odezwać.

Zadrzała i potarła ramiona. Chris pochylił się obok niej, by zamknąć okno.

- Są źli, ponieważ wszystkie swoje pieniądze i kosztowności przeznaczyła na cele dobroczynne - ciągnęła. - Ale powiedziałam im, że to jej pieniądze, prawda?

- Tak by się wydawało.

- Ale mój ojciec - mój Boże, jakże zmienił się od czasów, gdy mieszkaliśmy w komunie - chce mojej zgody na to, by jeden z jego uniwersyteckich kolegów podważył testament. Twierdzi, że zasłużyłam na te pieniądze, ponieważ opiekowałam się nią przez ostatnie trzy lata. Dlaczego on nic nie rozumie? Ja c h c i a ł a m się nią opiekować! Bóg jeden wie, że była jedyną osobą, która naprawdę się o mnie troszczyła.

- Paisley!

Urwała i spojrzała na niego.

- Ja nie spieram się z tobą, czy nie zauważyłaś tego? Zmrużyła oczy przechylając głowę na bok.

- Nie, nie spierasz się, a może? Kto by pomyślał?

- Pomyślał, że co?

- Że ty, finansista, weźmiesz w sporze stronę Moonchilda.

- Moonchilda?

- Wiesz - powiedziała miękko, przesywając go jednak oskarżycielskim spojrzeniem - Christian Quincy III złamał cioci Izzy serce. Zaskoczony, starannie dobierał słowa.

- Christopher Quincy Maitland jeden jedyny - oparł palec o własną pierś - nie może być za to odpowiedzialny.

- Masz rację. - Patrzyła na niego znad brandy. Wolno przełknęła trunek smakując go z uwagą, zdawała się podejmować decyzję. Opadając na krzesło wskazała mu ręką drugie, tuż obok. Nachyliła się ku niemu ścisząc głos. - Czekałam, żebym to zrobiła.

- Zrobiła co?

- Wywołała wielki skandal.

- Tak, słyszałem o tej niechlubnej tradycji Vandermeirów - skandal w każdym pokoleniu. - Bawił się kieliszkiem. - Ale naprawdę, Paisley, nie wiem, dlaczego chcesz traktować to tak poważnie i odnosić do siebie.

- Gdy Erwina Vandermeir porzuciła swego męża bankowca i siedmioro dzieci, by uciec z cyrkowym akrobatą, nowojorskie towarzystwo odniosło się do tego z dużą powagą. Potem Theodora Vandermeir uczerniła twarz i wyjechała na Południe, by napisać stamtąd niezwykle ostry artykuł dla pisma *Herald*. Nigdy go nie wydrukowali, zaś Theodora zniknęła. Dopiero ciocia Izzy odnalazła ją przypadkowo w Paryżu. Nie malowała już twarzy na czarno, a jej mąż także nie potrzebował tego robić. I bez pomocy węgla jego twarz była wystarczająco ciemna.

- Fascynujące - mruknął. - Nie słyszałem o tym.

- Christopher, moje dziedzictwo, by nie wspomnieć już o całym moim życiu, jest pasmem wielu nierozważnych czynów. Nie mieszczę się w sztamie, prawdę mówiąc, nie staram się nawet o to. Poprzysięgam sobie, że nigdy nie będę starała się upodobnić do innych. - Powoli skrzyżowała nogi i uniosła brodę. - Normalność, mój drogi, jest taka... nudna.

- A ty, moja droga - mówił przeciągając wyrazy - przede wszystkim nie znosisz nudy.

Potrząsnęła głową.

- Oszczędzę ci innych opowieści, ale słyszałeś o cioci Izzy i swoim dziadku. Także moi rodzice żyli w grzechu przez dziesięć lat, a ja jestem owocem ich zuchwałości. I dziwisz się, że traktuję to tak poważnie? Właśnie tak, jak powiedziałeś, odnoszę to do siebie. - Paisley zerwała się i podeszła szybko do okna.

- Niczemu nie byłaś winna. I nic z tego nie dotyczy ciebie i tego, kim jesteś dzisiaj.

- Czyżby? - Powoli obróciła się, by napotkać jego spojrzenie. - Od pierwszej chwili, gdy tylko weszłam do nowojorskiego towarzystwa - powiedziała, postępując krok do przodu - otaczały mnie ciekawe spojrzenia, snuto spekulacje. - Zrobiła jeszcze jeden krok. - Tak jakby cały świat zacierał z radością ręce i wstrzymał oddech, wyczekując z napięciem tego, co się stanie. - Kolejny krok do przodu i znalazła się tuż przed nim, tak blisko, że wyczuwał uwodzicielski zapach jej perfum. - By zobaczyć, kiedy to zrobię... - Pochyliła się, opierając dłonie na poręczy krzesła, jej twarz była tuż przy jego twarzy... -i z kim.

Przełknął z wysiłkiem ślinę. Gwałtownie wyrzuciła ręce w powietrze.

- A najgorsze jest to, że najlepsze sprzątnięto mi już sprzed nosa.

- Najlepsze co?

- Skandale. Nic już nie zostało, nic oryginalnego. Mogłabym przespacerować się nago po Piątej Alei, ale kogo by to obeszło? Każdy wzruszyłby jedynie ramionami i powiedział: „Czego też można było spodziewać się po Paisley Vandermeir?” - W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. -A poza tym, obnażanie się jest już przeżytkiem.

- Ty... nie mówisz poważnie, prawda?

Jej oczy znalazły, się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy, odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

- Jak najbardziej poważnie - uśmiechnęła się złowieszczo. - Odkąd skończyłam piętnaście lat, wiedziałam, że jedynym sposobem na rozplatanie tego węzła jest metoda Aleksandra Macedońskiego: jedno krótkie cięcie.

Dać im jak najszybciej ten ich przeklęty skandal i mieć już z tym święty spokój.

Gdy wygłosiła te rewelacje, chciała odwrócić się od niego, lecz nagle złapał ją za nadgarstki i mocno uwięził w swoich dłoniach.

- Masz jeszcze inne wyjście - szepnął odszukując kciukiem jej puls - przerwij to.

- Przerwij co?

- Przerwij to błędne koło - odpowiedział - niech czekają... w nieskończoność.

- Gdybyś... tylko uwolnił mnie - zająknęła się - mogłabym oddychać.

Rozumiał ją aż za dobrze. On także nie mógł złapać tchu i nie potrafił jej uwolnić. W milczeniu spoglądał na nią, świadom jedynie szaleńczego tempa jej pulsu i dzikiego łomotania własnego serca.

- Christopher... pocałuj mnie jeszcze raz. - Objęła go za szyję, rozchylając usta. Już tylko jeden oddech dzielił ich od pocałunku, gdy w ostatnim ułamku sekundy głos sumienia nakazał mu, by zapytać chociaż o skarabeusza.

- Co stało się z broszką, którą przypięłaś cioci Izzy?

- Wciąż jeszcze ma ją na sobie. - Uśmiechnęła się do niego. - Twój dziadek miał rację. Tak naprawdę, należała do niej.

Zamknął oczy i jęknął. A potem, nie widząc nic bardziej sensownego co mógłby zrobić lub powiedzieć, pocałował ją.

Świat zawirował, gdy musnął jej usta raz, drugi, trzeci, pieszczota o smaku brandy, którą rozkoszował się z niewielkim jedynie poczuciem winy. Czuł na sobie dotyk jej rąk, nacisk piersi i nigdy jeszcze żadna kobieta nie wydała mu się tak doskonała. Nigdy...

- Ooooch...

- To nie był jęk rozkoszy, prawda? - spytał bez tchu, gdy na moment rozłączyły się ich wargi.

Drżącymi palcami zakryła usta, potrząsając głową, a zaraz potem, tracąc równowagę, złapała go mocno za ramię.

- To... brandy.

- Czyżby uderzyła ci do głowy?

Zamrugła oczami, kiwnęła głową i z trudem skierowała się w stronę holu.

- Zostań tu!

Stał W miejscu obserwując, jak potknęła się na progu, starając się zatrzasnąć za sobą drzwi. Otworzyły się ponownie, ukazując leżące na podłodze spowite czerwienią ciało.

Czterema długimi krokami w ułamku sekundy przemierzył dzielącą ich odległość. Udało mu się podciągnąć ją do toalety. Podtrzymując jej głowę, dosłownie w ostatniej chwili uratował kimono od zniszczenia, którego przyczyną stałby się najwytworniejszy koniak, jaki kiedykolwiek miał przyjemność pić w towarzystwie pięknej kobiety.

Gdy ustały już nudności, zmoczył ręcznik i położył jej na karku. Zakaszła i chlipnęła cichutko. Rumieniec wstydu pokrywał jej policzki i wiedział, że jeszcze moment, a zacznie go przeproszać. Zanim jednak zdążyła to zrobić, potrząsnął głową.

- Mam na panią niesłychany wpływ, panno Vandermeir.

- To nie jest śmieszne - powiedziała słabo, z trudem powstrzymując się od śmiechu. - Tak, nie jest! Jesteś...

- Niepoprawny? Wiem. - Postawił ją na równe nogi. - Teraz lepiej?

- To brandy. Tym razem Izzy myliła się. - Dzielnie postąpiła dwa kroki do przodu i zachwiała się tak mocno, że tylko szybki refleks ocalił ją od fatalnego upadku.

- Paisley, a ile tak właściwie miałaś lat, gdy ciocia Izzy próbowała nauczyć cię pić brandy?

- Sie-e...

- Siedemnaście?

- Nie. Siedem - szepnęła chwytając się zlewu i nabierając głęboki oddech. - Przepraszam. - A potem dodała, według Chrisa całkiem zbytecznie: - Tak mi niedobrze.

- Wiem - powiedział przytulając ją. Jego misja nie miała już prawie żadnych szans powodzenia.

Nie przyszedł tutaj, by spełnić toast za umarłych, a już z pewnością nie po to, by osuszyć butelkę wybornego koniaku. I oczywiście nie marzył nawet o tym, że ulegnie pragnieniu dotknięcia Paisley Vandermeir, nie mówiąc już o całowaniu jej. Dwa razy.

A więc był tu; usłyszawszy na temat skarabeusza wiadomość najgorszą z możliwych i dźwigając w ramionach oszalamiającą i oszołomioną kobietę-wampa, zastanawiał się teraz, za którymi to zamkniętymi drzwiami znajdowała się sypialnia.

Co też, u diabła, powinien był właściwie zrobić? Ramieniem pchnął drzwi, które ustąpiły.

- Eureka - mruknął, spostrzegając łóżko. Na adamaszkowej narzucie rozsypane było mnóstwo błyszczącej biżuterii, większość w podobnym guście co czarny skarabeusz. - Chociaż nie wazysz wiele więcej niż piórko - powiedział, odsuwając na bok narzutę i rozrzucając błyskotki po drewnianej

podłodze - nie jestem jednak przyzwyczajony do przenoszenia z miejsca na miejsce mdlejących kobiet.

Z wielką delikatnością i niemałą ulgą złożył ją na szeleszczącym prześcieradle, podkładając pod głowę poduszki. Poza cichym pojękiwaniem i wtuleniem się mocniej w pościel nie zrobiła nic więcej, by ułatwić mu zadanie. Dość łatwo poradził sobie ze zdjęciem pantofli, ale pończochy i kimono?

- Nigdy w życiu - szepnął, okrywając ją narzutą. Gdy już miał zamiar wyjść, wpadł mu w oko album ze zdjęciami. Podeszedł bliżej i przyjrzał się fotografiom młodej Izadory Vandermeir; jej charakterystycznie jaskrawą biżuterię można było rozpoznać nawet na czarno białym zdjęciu.

Biżuteria.

Skarabeusz.

Oryginał znajdował się sześć metrów pod ziemią, ale może... Kiełkująca nadzieja ożywiona świetnym koniakiem napełniła jego serce optymizmem. Chwycił album, wpychając go sobie pod ramię.

- Cóż, dziadku, może uda mi się jeszcze coś uratować.

„Szebo... obudź się. ”

Paisley poderwała się na łóżku, zupełnie rozbudzona, choć chwilę przedtem spała jeszcze głęboko. Wiele już miesięcy, czy nawet lat, upłynęło od czasu, gdy ciocia Izzy budziła ją, przynosząc do łóżka irlandzką herbatę. I przez tę chwilę ciocia Izzy pochylała się nad jej łóżkiem, roztaczając zapach papierosów, naftaliny i Arpege... Potrząsnęła głową.

Słońce wpadało przez zakurzone weneckie żaluzje, rozsypując na jej łóżku paski światła. Kimono zsunęło się jej z jednego ramienia. Wciąż miała jeszcze na sobie staniczek bez ramiączek, pas i jedwabne pończochy...

- Dobrze nieba! Jak ja wyglądam!

Trochę zmieszana, a jednak już jakby wbrew własnym słowom, roześmiana, wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna.

- Wspaniały dzień, by rozpocząć nowe życie. - Oplotła się ramionami. Zakręciła się w kolko, szczęście burzyło się w niej jak różowy szampan. - Wspaniały dzień na uknuć skandalu.

To rzeczywiście był cudowny dzień. Z jakiegoś niewiadomego powodu czuła się znacznie lepiej niż w ciągu ostatnich wielu miesięcy. Cały pokój wydawał się być skąpany w złotym blasku.

- Irlandzka herbata - mruknęła, ziewając i drapiąc się w głowę. Nie piła irlandzkiej herbaty na śniadanie od... westchnęła, ale jej melancholia nie była dzisiaj na tyle silna, by przywołać żal... od śmierci cioci Izzy. A jednak pomyślała o tym i pozwoliła, by to wspomnienie przytłumiło na chwilę jej wolę życia, lecz tylko na jedną chwilę.

O, dobry Boże!

Zapomniała się wczoraj w ramionach Christophera Quincy Maitlanda...

Zadrżała, wspominając jego pocałunki, te chwile strachu i absolutnej ekstazy i pomyślała jednocześnie, jak łatwo Izadora ulegała takim chwilowym przyjemnościom.

Zwinęła dłoń w pięść, starając się nie poddać panice. W ten wspaniały, cudowny ranek, gdy po raz pierwszy, odkąd sięgnąć pamięcią, czuła, że może podbić świat, postanowiła skorzystać ze swego bogatego arsenału mechanizmów obronnych. Już wiele razy pomagały jej w **sytuacjach**, z których wybrnięcie wydawało się niemożliwe. Zamiast się wstydzić, będzie się śmiać.

Christopher Quincy Maitland ze swymi nienagannymi manierami był prawdziwym dżentelmenem, pamiętał nawet o podłożeniu przy jej łóżku mokrego ręcznika. Taka taktyka gwarantowała mu dodatkowe punkty u wdzięcznych debiutantek, które pozwoliły sobie na zbyt wiele szampana. Nic więc dziwnego, że cieszył się ogromną popularnością. Wysoki, przystojny blondyn - szczodry, gdy trzeba było zrobić zrzutkę.

Poszła do łazienki. Panował tam lekki bałagan już co najmniej od dwóch tygodni. Nie była więc to sprawa jej wczorajszej... hulanki? Chwili zapomnienia? Jej wczorajszych harców? Już samo słowo „harce” brzmiało głupio, ale dzięki temu wydawało się niezwykle właściwe.

- Ta-ta-ta-ta... - Zebrała z podłogi ręczniki i bieliznę i wrzuciła do wanny. Spryskała powietrze odświeżaczem, cały czas podśpiewując pod nosem zabawną odę do wielorybów. Zrzuciła szatę cioci Izzy i przebrała się w luźne, jedwabne spodnie, biało-czarny żakiet z usztywnionymi ramionami, przewiązany w talii czarnym, jedwabnym krawatem. Należał do jej osobistej kolekcji, jedyny strój, który nie zostanie przekazany do Metropolitan Museum of Art.

Przemierzając korytarz poruszała się w rytmie cza-cza. W szeroko otwartych drzwiach szafki a la Ludwik XV widać było kolorowe okładki muzycznej kolekcji Izzy. Doskonale wycelowanym ruchem biodra zatrzasnęła je i robiła dalej porządki, przechodząc teraz do kuchni, by nastawić wodę.

Nucąc pod nosem, przechyliła imbryk do herbaty w kształcie kota. Parująca, irlandzka herbata popłynęła z łapki do porcelanowej filiżanki.

- Nie rezygnuj z zaplanowanej na dziś pracy. Pisnęła, wypuszczając z rąk filiżankę, gdy obróciła się i zobaczyła uwieszony na klamce

Christophera Quincy Maitlanda. Gdy stał oparty o drzwi w rozciągniętym swetrze i pogniecionych spodniach, nie wydawał się być w swojej najlepszej formie.

- Proszę... - szepnął chrapliwie. - Nie rób tego więcej.

Poranny zarost nadawał jego policzkom złotawy odcień, a oczy patrzyły żałośnie spod ciężkich powiek, jakby samo mruganie sprawiało im ból. Nie było już śladu po wytwornym arystokracie, a zamiast niego objawił się czarująco zaniedbany mężczyzna. Panika szybko ustąpiła miejsca ciekawości.

- Wyglądasz dziś jak marynarz po nocnych hulankach - oświadczyła głośno, chcąc ukryć fakt, że mimo wszystko wydawał się jej bardzo kuszący.

Nie podniósł nawet palca do ust, syknął tylko miękko.

- Cśśś...

- Jeśli brandy tak na ciebie działa, może powinieneś jej unikać. -

Pochyliła się, by podnieść leżącą w kałuży herbaty, ale całą filiżankę, - To jedna z zalet dobrej porcelany - uniosła ją w górę - solidniejsza niż można się spodziewać. - Zerknęła na niego. - Proszę, siadaj. Mam do ciebie tylko jedną sprawę.

- Cśśś... - utrzymywał równowagę, opierając się ręką o ścianę, po czym bardzo uważnie przemierzył dzielącą go od kuchennego stołu przestrzeń, gdzie wreszcie opadł na krzesło.

Paisley ustawiła na miedzianej hinduskiej tacy dwie filiżanki, imbryk, talerzyk z krakersami i mały gliniany dzbanuszek. Usiadła obok niego i wsunęła mu w rękę naczynie z herbatą, już posłodzoną i z mleczkiem.

- Proszę, napij się.

Przyglądał się glinianemu dzbanuszkowi.

- Co to jest?

- Twaróg cytrynowy.

Jego skóra przybrała bardziej zielonkawy kolor.

- Nie bądź dzieckiem. Pij herbatę. - Rozsmarowała twaróg na cienkim wafelku i podała mu, gdy wreszcie odstawił filiżankę. - Jest pierwszej jakości, kupiłam go w sklepie dla smakoszy. Składa się z samych naturalnych składników: śmietana, jajka, cytryna, cukier. - Oblizwała odrobinę sera z palca i przysunęła mu wafelek pod nos. -Zjedz to.

Z żalosną miną wziął odrobinę do ust.

- Szybko - powiedziała. - Herbata.

Przełknął ślinę, patrząc na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Krakery.

Następny kąsek. Następny łyk. Głębokie wdechy.

- Lepiej?

- Nie jestem do końca pewien. - Więcej głębszych wdechów. - Tak, może troszeczkę. Promieniała radością.

- Mówiłam ci, że mam na to lekarstwo.

-Ujął w ręce nóż do masła i rozpoczął rozsmarowywanie twarogu pewnymi już niemal ruchami.

- Nie rozumiem.

- Nie próbuj nawet. Ma to coś wspólnego ze słodkim i kwaśnym, i...

- Nie! - wzdrygnął się. - Nie, nie o to mi chodziło. Ugryzł kawałek krakersa, przeżuł go powoli i przełknął.

- Nie rozumiem, dlaczego czuję się w ten sposób, skoro już od lat nie miałem kaca. I dlaczego ty - zwrócił na nią oskarżycielskie spojrzenie - świergoczesz, jak pomyłony kanarek po jakichś pijackich...

- ... harcach?

- To jest dosyć trafne określenie.

- Zastanawiałam się nad tym samym. - Postukiwała paznokciem o błyszczący blat stołu. - Ciocia Izzy mówiła, że Vandermeirowie mają końskie zdrowie. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego brandy działała na mnie w ten sposób. Obwiniła za to krew Montaguesów. Weź jeszcze. - Napęłniła filiżankę, dodając więcej cukru i mleka. - Widzisz, ja rzeczywiście mam zdrowie Vandermeirów. Potrzeba mi było tylko trochę czasu. - Okręcała wokół palca kosmyk włosów obserwując jak pił herbatę.

- Albo to, albo wciąż jesteś jeszcze pijana. - Rozcierał swój kark.

- **Cieszę się**, że czujesz się lepiej.

- Jestem wzruszony twoją troską.

- Teraz możesz odpowiedzieć mi na kilka pytań. Po pierwsze - co ty tu jeszcze robisz? Po drugie - gdzie spałeś? Po trzecie... Zamrugął oczami.

- Nie czuję się aż tak dobrze.

- To wstyd. - I swoim najbardziej władczym tonem powtórzyła: - Co ty tu jeszcze robisz?

- To bardzo skomplikowane... Ale podejrzewam, że rzeczywiście jestem ci winien jakieś wyjaśnienie. - Westchnął. - Ja... no cóż, wykończyłem brandy.

- Po prostu zostałeś i wypiliśmy pół butelki sam?! I... poszedłeś spać? - Paisley podrapała brodę paznokciem. - Nie wykazałeś się szczególną pomysłowością.

Skrzywił się i odwrócił głowę w drugą stronę.

- Cóż...

- No dobrze. Nie mogę się już doczekać, żebyś mi to powiedział. -

Zanurzyła wafelek w twarogu i zgarnęła pokaźna, ilość słodkiego, żółtego kremu prosto do ust.

- Nie chciałem być wścibski. Naprawdę nie miałem takiego zamiaru, ale kiedy zobaczyłem album ze zdjęciami...

Zamarła trzymając przy ustach uniesiony w górę wafel.

- Wścibski? - Powoli odłożyła wafel na spodeczek. - Oglądałeś moje albumy? Moje prywatne albumy ze zdjęciami?! - Trzasnęła dłonią w stół. - Grzebałeś w moich rzeczach, węszyłeś i przeglądałeś moje prywatne albumy?!

- Jeden album, który leżał na samym wierzchu przy twoim łóżku.

- Przy moim łóżku? - Tak, ułożył ją spać. Ale to znaczyłoby... -
Mówisz o albumie cioci Izzy w takim razie.

- Tak, oczywiście.

- Och! - Umoczyła palec w herbacie, po czym wessała słodką kropelkę. - Dlaczego?

- To rzeczywiście dość niezręczna sytuacja.

- Prawdę mówiąc, sprawiasz, że zaczyna to wyglądać coraz gorzej.
Jęknął. Podsunęła mu imbryk. Nalał pełną filiżankę i wypił jednym haustem. Skrzyżowała nogi.

- Mów dalej.

Kiedy spojrzał na nią, poczuła pragnienie, by odgarnąć mu z oczu włosy, rozetrzeć skronie i ulżyć jego bolącej głowie. Opanowała się z

wysiłkiem. Ten mężczyzna zdecydowanie nadużył jej gościnności. Zerknęła w dół i poprawiła dekolt.

- Czekam i mam na to cały dzień.

- Cały dzień? - Spojrzał na zegarek. - Do licha. Muszę zadzwonić do mojego biura w Chicago.

- W sobotę?

- Sobota?! Sobota - westchnął z ulgą. - Ale to znaczy, że dziś wieczór....

- Bal kryształowy?

- Tak, bal kryształowy. Właśnie po to jestem w Nowym Jorku, by towarzyszyć Annie. - Zacisnął mocniej palce na uchu filiżanki. - Będziesz tam?

- Nie. - Potrząsnęła głową i odetchnęła głęboko. - Oczywiście byłam zaproszona. Vandermeirów trzeba zapraszać. Ale szacowne matrony modlą się do swoich świętych, by ta akurat panna Vandermeir odmówiła.

Przyglądając się jej zmarszczył brwi. Czuła jego współczucie i natychmiast obudziła się w niej duma.

- Nie powinnaś się tak nami przejmować - powiedział cicho. - Nikt nie ma prawa osądzać cię w ten sposób.

- Powiedz mi, jak zareagowałaby twoja rodzina, gdybyś pokazał się na balu ze mną?

- Mam towarzyszyć Annie.

- A gdyby nie to sądzisz, że powitaliby mnie z otwartymi ramionami?

Bez uniesionych w górę brwi? Bez nerwów?

- Nie z powodu, o którym myślisz.

Nie próbuj usprawiedliwiać ich przede mną - pomyślała gorzko. - Nigdy nie zaakceptowałyby mnie. Zanurzyła palec w herbacie i dotknęła kącika jego ust. Obserwowała drżącą na wargach kroplę, dopóki jej nie zliział.

- A co by zrobili, gdyby wiedzieli, że ich drogi Chris spędził noc w mieszkaniu Paisley?

Nagle pozieleniał, chwytając się kurczowo stołu.

- Biedny chłopiec. Toaleta jest w holu.

- Pamiętam - jęknął i powlókł się w stronę łazienki. Krzątała się po kuchni, sprzątając ze stołu i zbierając naczynia, gdy wreszcie do niej dotarło: Dlaczego grzebał w albumie cioci?

Rozdział czwarty

Waliła w drzwi łazienki.

Chris wpatrywał się w swoje blade odbicie. Czuł się, jak wampir unikający słonecznego blasku i podobnie jak on zagrożony.

- Dlaczego grzebałeś w fotografiach cioci Izzy? -krzyknęła Paisley.

Co też, na Boga, zrobiłeś? - domagało się odpowiedzi jego lustrzane odbicie.

- Nic! - odparł. - Zupełnie nic.

- Co? - zawołała Paisley. Odkręcił wodę i zmoczył twarz.

- Nie uda ci się ukryć przede mną na zawsze - zagroziła mu.

Jej słowa wciąż **dźwięczały** w jego pamięci. „Co powiedziałyby twoja rodzina, gdybyś pokazał się na balu ze mną?" Ona naprawdę sądziła, że może stać się przyczyną ich szoku.

Boże, gdyby miał po prostu kaca. Z tym umiał sobie radzić. Ale poczucie winy, jak najbardziej uzasadnione, było czymś zupełnie innym.

Zakręcił wodę.

- Nic ci nie jest? - zawołała Paisley. - Lekarstwa są w szafce. Ale nie wyjdiesz stąd, dopóki się nie wytłumaczysz.

Gwałtownie, popchnął drzwi łazienki i powitała go zwrócona w jego stronę, pełna wyczekiwania, rozkoszna twarz Paisley.

- Potrzebuję drinka.

Nie sprzeczała się z nim. Po prostu poprowadziła go do dobrze, zaopatrzonego barku. Nalał sobie szklaneczkę szkockiej i wychylił od razu.

- Jeśli chodzi o te zdjęcia - zaczął - to...

Stała przy jego ramieniu niezwykle czarująca i niebezpieczna.

Trzymała w dłoniach album, który przeglądał zeszłej nocy.

- ... szukałem fotografii skarabeusza.

- Nie wiem, czy jest tam jakaś.

- Doszedłem do tego samego wniosku. Chwyciła wygodniej ciężki album.

- Dlaczego wciąż pytasz o tego skarabeusza?

- To oczywiście tylko tworzywo i górskie kryształki, ale zdecydowanie popełniłem błąd zwracając ci go bez wiedzy dziadka.

- Bez jego wiedzy? Sądziłam, że to on go zwrócił.

- Pozwoliłem, żebyś tak myślała, wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Moi dziadkowie wiele ostatnio przeszli. Wolałem nie przywoływać starych bolesnych wspomnień. - Chris opadł na skórzaną kanapę. - Jak mogłem się tak mylić?

Paisley usiadła obok niego. Kanapa była dwuosobowa. Przesunął się odrobinę w bok, ale nie mógł całkiem uciec przed ciepłem jej ciała i zapachem delikatnych perfum.

- Co się stało? - spytała i potrwało chwilę, zanim przypomniał sobie o czym rozmawiali.

- Dziadek Quincy dowiedział się o śmierci Izadory dopiero w kilka dni po pogrzebie. Był bardzo przygnębiony. Chciał w nim uczestniczyć.

- Zrobiłeś, co uważałeś za najlepsze.

Spojrzał jej w oczy i nie znalazł w nich potępienia. Poczował ulgę.

- Dziadek musiał być mocno zraniony. Chyba spodziewał się, że Izadora chce mu coś zwrócić.

- Skarabeusza - powiedziała miękko Paisley.

- Właśnie.

- Chris, bardzo mi przykro, ale nie wiem, jak...

- Rozumiem. Sądziłem, że gdybym miał zdjęcie, mógłbym kazać zrobić duplikat i nikt nie poznałby różnicy. Tak naprawdę, to ona przecież go zwróciła. Czuję się teraz za to odpowiedzialny.

- Ale to nie znaczy, że to twoja wina. To był błąd popełniony z dobrego serca.

- Dzięki.

- Ale mylisz się. - Paisley spojrzała znacząco na Chrisa.

- Co takiego?

- To nie zwykłe tworzywo i górskie kryształki. Na początku stulecia plastik nie był tanim materiałem, a projektanci biżuterii często osadzali w nim drogie kamienie.

- Drogie kamienie. - Poczul tępy ucisk w żołądku.

- Dwa karaty w rubinach, półtora w szmaragdach i idealny jednokaratowy diament na plecach chrząszcza.

- Na Boga, Paisley! I ty pogrzebałaś to razem z nią? Wzruszyła ramionami.

- To tylko pieniądze. Jeśli ciocia Izzy nauczyła mnie czegoś, to tego między innymi, by nie przywiązywać zbyt dużej wagi do pieniędzy. - Spojrzała na niego przez ciemne, gęste rzęsy. - Zrozumiem, jeśli się ze mną nie zgodzisz.

- Jestem zbyt poruszony, by cię w ogóle zrozumieć.

- Domyślam się, dlaczego jesteś taki poruszony. Po prostu nie powinno się mieszać różnokolorowych kamieni. Jestem pewna, że dziś uważa się to szczyt wulgarności. Ale w okresie art-nouveau było inaczej.

- Nie wiem, co powiedzieć dziadkowi Quincy.

- Chciałabym ci jakoś pomóc, ale nie wiem jak. Może powinnam z nim porozmawiać?.

Chris potrząsnął głową.

- To ja stworzyłem ten problem i ja muszę go rozwiązać.

Paisley wstała i miękkimi krokami przemierzyła aubussoński dywan. Wiedział, czego szukała. Widział to poprzedniej nocy. I teraz, podobnie jak wtedy, poczuł skurcz w żołądku. Wzięła do ręki ciężką miedzianą oprawkę, zawahała się, zanim ostatecznie zdecydowała, by mu ją pokazać.

Nie mógł powstrzymać się, by nie wziąć ramki do ręki, by nie spojrzeć na niegdysiejszych kochanków. Izadora i Quins.

- To takie niesamowite.

Odezwali się w jednym momencie.

- Tak bardzo go przypominasz.

- Tak bardzo ją przypominasz. I zamilkli oboje.

Oddał jej fotografię. Nie powiedział już, że kiedy zobaczył tę fotografię po raz pierwszy, sądził, że przedstawia ich oboje. Co było zupełnie niemożliwe. Dopiero potem zrozumiał, że było to zdjęcie dziadka Quincy i Izadory.

Był tak wstrząśnięty, że szybko osuszył butelkę brandy i w ten sposób stworzył tę niezręczną sytuację.

Kogo chciał oszukać? Sytuacja stała się niezręczna w momencie, gdy wziął ją w ramiona i pocałował. Dwa razy. Nawet przez moment nie pomyślał o Lydii. Aż do dzisiejszego ranka, gdy to Paisley spytała go: „Co powiedziałyby twoja rodzina?”

- Paisley, od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy na balu Anny, dzieją się ze mną dziwne rzeczy. Nie umiem tego wyjaśnić. Na przykład ostatnia noc.

Z zamkniętymi oczami i przyciśniętym do piersi albumem wydawało się, że czeka na cios. Ale to nie powinien być cios. Nie było żadnego powodu, dla którego miałby czuć, że popełnia wobec niej zdradę. A jednak właśnie tak się czuł. Jakby miała do niego jakieś prawo. To przez tę przeklętą fotografię. Przez nią wszystko nabrało w pewien sposób innego znaczenia.

- Paisley, jestem zaręczony.

Przez długi czas nie poruszyła się. Potem bardzo uważnie odłożyła zdjęcie na kanapę, jedną ręką zebrała swój żakiet przy szyi, a drugą odgarnęła włosy z twarzy. Czarne pasma wróciły zaraz na swoje miejsce.

- Jeśli tylko to cię trapi, to z czego, u diabła, robisz problem? Nic się przecież nie stało.

- Dokładnie. Prawie nic się nie wydarzyło.

- A więc nie ma żadnego problemu.

- Oczywiście. - Powinien czuć ulgę, że okazała się tak wyrozumiała, powinien się rozluźnić, stał jednak w miejscu, jak zahipnotyzowany...

Nagle oczy Paisley zwęziły się w szparki, a pełne usta zacisnęły w wąską linijkę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Żaden problem! Do diabła z tobą! Nic **się nie** stało! Nie nazywałabym niczym porywania mnie w ramiona i całowania!

- Oczywiście, to nie tak... - zaczął.

- Jakim ty jesteś mężczyzną? Bierzesz udział w pijackiej rozpuście, gdy twoja biedna dziewczyna siedzi sama w domu i...

- Lydii nie ma w domu - wyjaśnił. - Jest w...

- Lydia, Lydia! Nieważne, gdzie ona jest! To żadne usprawiedliwienie! Ona ci ufa! Kocha cię! Prawdopodobnie właśnie teraz planuje swój ślub, na litość boską!

- Paisley! Posłuchaj mnie! - Chwycił ją w ramiona i usadził na kanapie. - Lydia nie siedzi w domu. Jest w Kenii i wykopuje tam kości.

- Kości? - Paisley urwała zakłopotana. - Na swój ślub?

- Co? - Potrząsnął głową, - Chociaż nie planowaliśmy jeszcze ślubu, mogę zapewnić cię, że nie będzie tam żadnych kości.

- Nic dziwnego! Biedna dziewczyna prawdopodobnie nie planuje ślubu, gdyż ma przecucie, co ty wyrabiasz podczas jej pobytu na safari - mruknęła Paisley. - I pomyśleć, że przyczyniłam się do kryzysu w narzeczeństwie.

- Wcale się nie przyczyniłaś! - Paisley zerwała się na równe nogi.

- Jeśli omdlenie w twoich ramionach nazywasz niczym....

- Nie o to mi chodziło, do diabła! A Lydia nie pojechała na safari, ona uczestniczy w naukowej ekspedycji. Wyjechała półtora roku temu. Jest na wyprawie paleontologicznej, zbiera materiały do swojej pracy doktorskiej. Nie planujemy ślubu. Nie siedzi w domu. Właśnie bawi się znakomicie, robiąc dokładnie to, na co ma ochotę.

- Nic dziwnego, że jesteś taki wściekły - odparowała Paisley, opierając ręce na biodrach. - Ona jest po prostu nadętą egoistką!

- Nie jestem wściekły! - przerwał jej gwałtownie. - Lydia Smythe nie jest nadętą egoistką i to ja chciałem, żeby zrobiła doktorat. Chciałem, aby

zrealizowała swoje marzenia. Z jakiego innego powodu odkładałbym przez jedenaście lat nasz ślub, podczas gdy ona...

- Jedenaście lat? - Paisley opadła na sofę. -

- Tak.

- Czekasz jedenaście lat, by się ożenić? Był przygotowany na dalsze oskarżenia, ale zauważył, że rysy jej twarzy złagodniały.

- Wielkie nieba... ty naprawdę ją kochasz, prawda? Nagłe poczuł, że siły go opuściły. Opadł na kanapę i spojrzał w jej oczy. Powinien odpowiedzieć „tak”, ale nie mógł się na to zdobyć.

- Mężczyzna, który jedenaście lat odkłada spełnienie własnego szczęścia po to, aby kobieta, którą kocha mogła zrealizować swoje marzenia. - W jej uśmiechu był dziwny smutek. - Nie znam lepszej definicji miłości.

Dlaczego czuł w sobie taką pustkę? Dlaczego tak bardzo tym się przejął? I jak to się stało, że pozwolił, by do tego doszło? Nie był mężczyzną skłonny do zdrady... do ranienia innych... i nie pragnął też niczego więcej, niż tylko porwać tę kobietę w ramiona, ukoić i poczuć ją przy sobie raz jeszcze.

Coś ostrego ukłuło go. Odsunął na bok ramkę. Nie patrz, rozkazał sobie. Spojrzał. Chwila lodowatej ciszy i z każdą sekundą ciężiej było mu przekonać samego siebie, że to nie jego własne oczy patrzyły na niego, że to nie Paisley przytulał w ramionach... Wstał, zbyt pośpiesznie.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedziała, sama też podrywając się z kanapy. - Takie rzeczy zdarzają się. - Urwała chichocząc, w jej śmiechu zabrzmiało coś ostrego. - Właściwie to nie zdarzają się często, prawda? Może to odrobinę wytrącić cię z równowagi, gdy upijasz się z kimś prawie

obcym, by następnego ranka znaleźć go śpiącego na twojej sofie i nie potrafisz sobie wyobrazić, jak się wtedy czułeś? A więc zapomnijmy po prostu o naszym zawstydzeniu i opowiedz mi o Lydii. Czy jest ładna?

Zaburczało mu w brzuchu; była na tyle delikatna, by udąć, że nie słyszy, ale Chris spytał:

- Czy może masz jeszcze trochę tej cytrynowej pasty? W jej uśmiechu była sama słodycz.

- Oczywiście! Czyż nie jest pyszna? Chodź i opowiedz mi o Lydii. Poszedł za nią do kuchni.

- Zналиśmy się od zawsze. Nasze matki wynajmowały wspólny pokój w Chapin, a potem w Radcliffe.

- Byłam przez jakiś czas w Chapin - powiedziała smarując twarogiem krakersa i podając mu go.

- Jakiś czas? - spytał zanim jeszcze włożył ciastko do ust.

- Wytrzymałam tam siedem tygodni. Jeszcze przed Foxcroftem i... Rosemary Hall, jak pamiętam. Byłam wtedy dość nieznośna. Bardzo nieszczęśliwa i zdecydowana przekonać o tym wszystkich, odgrywając rolę małego bękarta.

- Słucham?

- Bałam się, że ludzie będą szeptać o mnie za moimi plecami, wolałam więc wyjaśnić wszystko od razu. „Cześć Juliet. Nazywam się Paisley Vandermeir. Jestem pewna, że słyszałaś o mnie. Nie? Tak, oczywiście, jestem jedną z Vandermeirów, tych Vandermeirów. Jestem bękartem. Na pewno słyszałaś o mnie. O teraz już pamiętasz. Tak, mama i tata nie mieli wtedy ślubu, ale życie w komunie było tak wyzwalające. ” - Spojrzała na niego spod długich rzęs. — To zdecydowanie zapobiegało szeptom.

Wstała i przez moment jej twarz wydała mu się zgorzkniała.

- Myślę, że już czas, żebyś poszedł.

Okazując dużą troskliwość, pomogła mu zapiąć płaszcz i odprowadziła go do drzwi.

- Opiekuj się dobrze Lydią - powiedziała, poprawiając mu szalik.

Potem przechyliła na bok głowę i dała mu prztyczka w nos. - Wiesz, zazdroszczę jej. Zazdroszczę wam obojgu.

Na rogu złapał taksówkę. Gdy ruszyła oparł bolącą głowę na zagłówek i przymknął oczy. Nic to nie pomogło. Wciąż widział ją, wychylającą się przez okno, by pomachać mu na pożegnanie.

Machała, aż rozboleła ją ręka, aż była pewna, że odjechał, choć wciąż jeszcze nie mogłaby dać za to głowy. Nie wszystko widziała przez łzy, które nie wiadomo skąd się wzięły.

A już zupełnie nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego dzień, który rozpoczął się tak złocistym porankiem skończył się tak szaro?

Podświadomie czuła, że delikatny ucisk w żołądku tym razem nie minie po wypiciu irlandzkiej herbaty. Paisley zmrużyła oczy, chroniąc je przed wpadającym przez wysokie okna blaskiem. Wzięła do ręki kolejną rolkę mikrofilmu i włożyła do aparatu. Pomysł poszperania w zbiorach Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, by odnaleźć Lydię Smythe okazał się pokusą zbyt silną, by mogła się jej oprzeć. Bardzo jej się tu podobało.

Wysokie sufity i drewniane stoły kontrastowały z nowoczesnym sprzętem.

Przysunęła się do ekranu. Przejrzała już fotografie debutantek z trzech ostatnich lat, lecz nie natknęła się jeszcze na Lydię Smythe. Ale odnajdzie ją w końcu. Była tego pewna. Lydia Smythe bez wątpienia pochodziła z towarzystwa.

I wreszcie ją odnalazła. Odnalazła ich oboje. „Debiutantka Lydia Smythe i jej towarzysz Christopher Quincy Maitland na Balu Juniorów, sobota... „, Zamiast satysfakcji poczuła przechodzące ją dreszcze, gdy nastawiła ostrość i powiększyła zdjęcie. Na ziarnistej czarno-białej fotografii nie widać było szczegółów, ale to co zobaczyła wystarczyło.

O tak, zdecydowanie wystarczyło. Wysoka i dystygowana, Lydia Smythe była jedną z tych długonogich, rasowych piękności. Fala blond włosów opadała jej na czoło, reszta zebrana była w gustowny kok. Elegancka suknia podkreślała jej dziewczęcą sylwetkę. Linie dekoltu obrysowywały małe perełki, a dół kreacji wieńczyła koronkowa falbana.

- To aż niesmaczne, jak łatwo można było sobie ją wyobrazić - mruknęła Paisley pod nosem. Obok niej wysoki i elegancki Christopher Maitland, młodszy o dobrych dziesięć lat, ale niewiele zmieniony. Mógł nawet mieć na sobie ten sam smoking co na balu Anny i prawdopodobnie miał. Jego włosy były wtedy odrobinę dłuższe...

Paisley wyłączyła monitor. Nie była w stanie patrzeć na to dłużej. Lydia i Chris tworzyli idealną parę, byli absolutnie perfekcyjni.

- Co mnie to obchodzi? - Zaciśnęła powieki i pięści. - Co mnie to obchodzi?

Smoki. Oni wszyscy. Także Chris. Zwłaszcza Chris.

O, Boże, Boże, Boże... Paisley pochylała się do przodu, aż oparła się głową o ekran. Co się z nią działo? Nigdy przedtem nie czuła się tak, jak w ramionach Chrisa. Pocałunki innych mężczyzn nigdy nie wywoływały w niej drżenia i nie zapierały tchu.

Gdzieś daleko w swojej Zambii czy Algierii, Lydia Smythe pochłonięta badaniami była pewna, że jej nowojorskie życie będzie czekało

na nią, gdy znudzi ją dotychczasowa praca. Ostatecznie wróci, wyjdzie za
mąż, urodzi dzieci, a potem spędzi resztę życia na wyszukaniu właściwych
szkół, pensji i uczelni dla potomstwa Maitlandów.

Lydia Smythe nigdy nie otarła się nawet o skandal - mogłabym się o to
założyć - pomyślała z odrobiną złości i irytacji. Dlaczego tutaj przysłała?
Dlaczego czuła potrzebę zdobycia jak najwięcej informacji o Lydii, jakby ta
była jej rywalką?

Ciocia Izzy znalazły na pewno wszystkie odpowiedzi. Czy na pewno? -
Ciocia nie potrafiła nawet znaleźć swojego własnego mężczyzny - mruknęła
Paisley, przewijając film. - Musiała zakochać się w cudzym.

Paisley zamarła. Tak, Izzy wybrała Quina. Wszyscy orzekli, że było to
skandaliczne. Nie uciekła z mleczarzem, nie roztrwoniła fortuny, nie
wyjechała, by zamieszkać na dalekim Borneo. Wybrała skandal najprostszy,
jaki kiedykolwiek istniał.

I wybrała mężczyznę, który należał do innej kobiety.

A potem przeżyła resztę życia dokładnie tak, jak chciała, nie oglądając
się na nikogo ani na żadne konwenanse. Chociaż to nie było złe życie. Tak
naprawdę było cudowne. Czyż ciocia Izzy tego nie mówiła?

Paisley ogarnęło podniecenie. Do swojego skandalu nie potrzebowała
żonatego mężczyzny, wystarczy zaręczony. Wszystko układało się
znakomicie, zwłaszcza że Lydii nie było w pobliżu.

Paisley będzie musiała być bardzo ostrożna, mimo wszystko nie
chciała nikogo zranić. Dla każdego musi być absolutnie jasne, że Chris jest
niewinny, że to ona, Paisley, była za wszystko odpowiedzialna.

Bariera dzieląca Paisley od wolności była ścianą, którą należało zaatakować z całym impetem, by zburzyć ją raz na zawsze. A po drugiej stronie czekała jej przyszłość.

Czy się ośmieli?

Ryzyko było ogromne. Rodzina mogła się jej wyrzec. Mogła na zawsze stracić dobre imię. Mogła... o Boże, mogła raz jeszcze znaleźć się w ramionach Christophera Maitlanda. Poczwała suchość w gardle, serce zabiło jej szybciej.

Czy się odważy?

Ogarnęło ją drżenie. Zrobi to.

W następny piątek ulice Nowego Jorku wypełniły tłumy nie spotykane tu w żadnym innym czasie. Paisley oderwała się od śpieszącej Piątą Aleją kawalkady ludzkiej i wspięła na schody Metropolitan Museum of Art. Czerwony kaptur osłaniał jej uszy przed przenikliwym wiatrem, ale płaszcz nie chronił łydek przed mrozem. Przewieszona przez ramię torba ciążyła, a głowa Paisley zajęta była planowaniem intrygi i rozważaniem wszystkich możliwych rozwiązań.

Weszła do muzeum, nie poznała jednak siedzącego przy stoliku informacyjnym mężczyzny. Nic dziwnego, upłynęło już dobrych kilka lat od czasu, gdy pracowała tutaj z doktorem Clary. Wizyta w Dziale Strojów była krótka i już chwilę potem znalazła się z powrotem w głównym holu, tym razem jednak nie dźwigała już ciężkiej torby, a w niej kilku najwytworniejszych sukien cici. To dobrze. Przynajmniej zabrała się już za załatwienie spraw związanych ze schedą po zmarłej. A jutro wieczorem na balu u Lexie odpali pierwszą salwę skandalu, który burzył się niespokojnie w jej sercu. Gdy uczyni ten krok, nie będzie już miała odwrotu.

Podeszła do wspaniałych schodów, z którymi związanych było tyle jej dziecięcych marzeń. Oczywiście w marzeniach tych nie występował Christopher Maitland ani nikt podobny do niego. Nie, Christopher Maitland za bardzo przypominał ten typ chłopców i mężczyzn, który wprawiał w drżenie małe, dobrze wychowane dziewczynki. Paisley zmarszczyła z pogardą nos i w tym momencie zauważyła, że prawdziwy Christopher Maitlanda nie wytwór jej wyobraźni - wyszedł właśnie ze sklepu z pamiątkami.

Szybko. Mogła wślizgnąć się do księgarni muzeum i zginąć w tłumie, dopóki nie odejdzie.

Za późno. Spojrzał na nią z poczuciem winy, a może nawet z niepokojem, jakby wyczuwał w powietrzu kłopoty. Ruszył w jej stronę. Cieszyła się, że nie pośpieszyła mu na spotkanie - jakież to byłoby nieeleganckie. Zamiast tego zaczęła uważnie przyglądać się swoim paznokciom. Gdy znalazł się dość blisko zawołała:

- Witaj Chris, co za spotkanie! - Krew krążyła w jej żyłach jak szalona, a w głowie wirowało mnóstwo pytań.

- Przepraszam - powiedział, lecz w jego głosie nie słychać było żalu. Zażenowanie tak, żalu nie. - Przyszedłem tu w poszukiwaniu odrobiny samotności. Nie spodziewałem się spotkać kogoś znajomego wśród tego tłumu turystów.

A już z pewnością nie mnie - pomyślała - zastanawiając się, czy mogłaby w jakiś sposób wykorzystać ten zbieg okoliczności dla swoich celów.

- Miałam tu parę spraw do załatwienia. - Wzruszyła ramionami podnosząc palce na wysokość twarzy, jakby w poszukiwaniu czegoś, co

mogłaby trzymać w dłoni, najlepiej jednej z cygaretek cioci Izzy. -
Musiałam pozbyć się kilku rzeczy należących do starszej pani, rozumiesz.

- Och! - Wydawał się zupełnie rozbity tym oświadczeniem. - To musi być tru...

- Bynajmniej - przerwała mu sucho. - To tylko rzeczy.

- Oczywiście. - Odetchnął z ulgą. Posłał jej uśmiech, niezwykle młodzięcy i czarujący. - Ja jestem tutaj z powodu choinki.

- Choinki? - Obraz Chrisa czekającego w kolejce razem z dziećmi i turystami, by zobaczyć ustrojone aniołkami i świeczkami dzieło sztuki, nie mówiąc już o stojącej obok barokowej szopce, był dziwnie nieoczekiwany i słodki. - Przyszedłeś tu, by zobaczyć choinkę?

- Nie widziałem jej od lat. A w domu jest tyle zamieszania w związku z Anną i...

- Wymknąłeś się, by szukać azylu przy choince.

- Hm... tak. Dokładnie tak zrobiłem. - Wsunął ręce w kieszenie. - Szczerze mówiąc, cieszę się, że cię spotkałem.

- Naprawdę? - Obrzuciła go ciekawym spojrzeniem. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Tak. Czułem się głupio z powodu tego, co wydarzyło się u ciebie. To znaczy... - Rozejrzał się wokół niespokojnie, - Nie chodzi mi o to, że coś rzeczywiście...

- Tak, tak, tak, wiem. Mówiliśmy już o tym. Nic się nie stało.

- A jednak stało się. I czuję się winien.

- To normalne. - Paisley zniecierpliwiła się. Do diabła z nim. Za każdym razem, gdy sądziła, że wreszcie udało się jej zapanować nad swymi emocjami, zjawiał się on, by wzburzyć je na nowo. - Chris, jeśli chodzi o

mnie, to panna, nie pamiętam już jej imienia, nigdy nie dowie się o niczym. Możesz się więc o to nie martwić.

- Nie! - Jego głos zabrzmiał ostro, odbijając się echem od marmurowych ścian i zwracając uwagę przechodniów. - Nie - powtórzył miękko - nic nie rozumiesz. Czuję się winny z twojego powodu. Wprowadziłem cię w błąd, zraniłem. Nie wiem, co wstąpiło we mnie, nigdy w życiu nie postępowałem w ten sposób...

- Oczywiście, że nie - powiedziała Paisley, pragnąc zakończyć już ten wątek.

- ... i bardzo się cieszę, że trafiła mi się dziś okazja, by udowodnić ci, że nie jestem jakimś szalejącym maniakiem, który nie panuje zupełnie nad własnymi emocjami...

- Boże broń.

- ... ani też bezmyślnym draniem, uważającym kobiety za schronienie w czasie burzy. A ty... nie, traktujesz mnie poważnie - powiedział zrezygnowany.

- Prawdę mówiąc, panie Maitland - odpowiedziała cierpko - myślę, że i bez mojej pomocy traktuje pan siebie wystarczająco poważnie. - Posłała mu najśłodszy ze swoich uśmiechów. - Widzisz? Nie jestem zraniona i nie musi ci być przykro z mojego powodu.

- Dobrze. - Spojrzał na nią zdziwionymi i cudownie niebieskimi oczami. - Dobrze.

- Więc, jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu, to naprawdę muszę już uciekać. - Odwróciła się od niego, lecz chwycił ją łagodnie za ramię i zatrzymał w pół kroku. Gwałtownie odwróciła głowę i napotkała jego niezwykle niepokojące spojrzenie.

- Czy suknie które dziś przyniosłaś... czy była wśród nich sukienka, którą nosiłaś na balu Anny?

Cieżko przełknęła ślinę. Dlaczego, pytał ją o to?

- Nie. Wciąż jeszcze jest w domu.

- Zachowałaś ją?

- Dlaczego... pytasz?

- To piękna sukienka - odpowiedział. - Wydaje się bardzo cenna i chyba ma za sobą długą historię... Zastanawiałem się tylko, czy ją zatrzymasz, to wszystko.

- Nie mogę jej zatrzymać.

Była zła na siebie i na niego za to, że poruszył ten temat. Pociągnęła leciutko nosem, zmuszając się do uśmiechu i odganiając z oczu kosmyki włosów.

- Wiesz, to głupie, jak bardzo przywiązujemy się do ... różnych przedmiotów. Po prostu zwykłych przedmiotów. Myślałam, że poradzę sobie z tym dużo lepiej. A to dopiero początek.

Czuła na sobie jego uważne spojrzenie i wiedziała, że policzki jej płoną. Sięgnęła po chusteczkę do kieszeni płaszcza i udało jej się przy tym zgrabnie odsunąć trochę od niego, oddalić na tyle, by móc złapać oddech.

- O wielkie nieba! - szepnęła z przerażeniem.

- Co się stało? - spytał głosem pełnym troski.

- Nic takiego - powiedziała. - Mam tylko znaleźć nowe mieszkanie i to wszystko, a jest tak mało czasu... Naprawdę powinnam już pójść.

Spojrzał na nią, a w jego oczach wyczytała o czym myślał. Powinien był pozwolić jej odejść, chciał by odeszła, potrzebował tego. Poczowała nagłą

panikę, ale też i ulgę, gdy jego oczy zabłysnęły figlarnie, a w policzkach ukazały się dołeczki. Wyciągnął ku niej rękę i przyciągnął do siebie.

- Nie oglądając choinki? To przecież Boże Narodzenie, o którym zapominamy zajęci naszymi sprawami i... i...

- I pogrzebami i tak dalej - dokończyła za niego. - Tak, Boże Narodzenie, to chyba coś znaczy, prawda? - To zadziwiające, jak dobrze i naturalnie czuła się, gdy jej dłoń spoczęła w jego ręku. Gdyby tylko umiała zapomnieć o wszystkich komplikacjach i gdyby jego uścisk nie wywoływał takiego drżenia w całym ciele. Wyrwała rękę i zaśmiała się nerwowo, rozcierając ją. - Ale ja nie wspominam Bożego Narodzenia jako spotkania kochających się ludzi wokół ciepłego kominka. - Nie chciała, by poznał po głosie, że miało to dla niej jakiegokolwiek znaczenie. - A poza tym nie mam ochoty na stanie w kolejce. Sądzę, że lepiej po prostu sobie pójść.

- Ostrożnie. - Dłoń Chrisa zacisnęła się powtórnie na jej ręku, gdy pociągnął ją na bok; omal nie wpadła na młodą kobietę pchającą wózek, u którego uwieszony był kilkuletni brzdąc. Znów czuła na sobie jego badawcze spojrzenie. - Dosyć tu dzisiaj tłoczno.

Nawet przez rękawiczkę dotyk jego dłoni wywoływał niepokój. Tym razem, gdy się uwolniła, zauważyła że jego ręka zacisnęła się w pięść, jakby i on starał się pokonać ogarniające go dreszcze, odeprzeć nęcącą pokusę.

Musi koniecznie nauczyć się lepiej panować nad sobą. Jak może jej się udać wywołanie skandalu, jeśli już samo dotknięcie jego dłoni wprawiają w takie drżenie? Ucieknie stąd.

- Miło było cię spotkać Chris. Na wszelki wypadek, gdybyśmy się nie widzieli - (ale to przewrotne w stosunku do jej planu) - życzę ci wesołych świąt. - Okręciła się na pięcie i ruszyła w kierunku ulicy. Wkraczając z

powrotem na Piątą Aleję poczuła na twarzy powiew zimnego wiatru.

Szybko pokonywała kolejne stopnie, ale Chris już ją doganiał.

- Czekaj - zawołał. - Idę w twoją stronę.

Nawet narzucenie ostrego tempa nie pomogło jej przed nim umknąć.

Niewzruszona patrzyła przed siebie, wtapiając się w tłum.

- Nie wiesz, dokąd idę.

- Do domu, prawda?

- Tak, idę do domu. - Do domu, gdzie właśnie wietrzyła się jej balowa kreacja, wielkie połacie złota rozłożone przed wiatraczkiem, by w ten sposób szybciej ulotnił się zapach kamfory. Nie chciała, by zobaczył tę suknię już teraz. Wyprzedziła go, by przeciąć Piątą Aleję, zgrabnie przestępując resztki nie dojedzonego hot-doga.

- A więc pójdę z tobą. - Przysunął się do niej i przeklął; leżąca na chodniku bułka z parówką okazała się dla niego bardziej pechowa. - Dobry Boże, Paisley, czy pozwolili ci zachować jakiś drobiazg, jakąś pamiątkę, choćby wspomnienie?

Zatrzymała się, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Co takiego?

- Chcę wiedzieć, kto zepsuł ci święta Bożego Narodzenia?

Przyglądała mu -się: jego mocno zarysowanym szczęką, zmarszczonym brwiom i błękitnym oczom.

- To było dawno temu, Chris - powiedziała łagodnie. - I nie była to tylko jedna osoba. Zepsuły je związane z nimi oczekiwania, rysunki Curriera i Ivesa, ilustrowane książki, telewizyjne reklamy... dla Vandermeirów nie oznaczało to czasu rodzinnych spotkań.

- Jest to jedna z najbardziej smutnych rzeczy, jakie kiedykolwiek usłyszałem.

Wokół nich bezustannie płynęło morze ludzi, jednak Paisley czuła, jakby cała troska świata skupiła się na tym kawałku ziemi, na którym stali. Zwłaszcza troska o nią.

- Musisz to zrozumieć, cioci Izzy nigdy nie było z nami na Boże Narodzenie, a ona była moim słońcem, bez którego robiło się pusto. Nie można winić za to innych. Wiesz, ciocia Izzy wyznawała hinduizm.

- Dobry Boże!

Zaśmiała się głośno, ubawiona jego reakcją. Napięcie trochę osłabło, szła już teraz odrobinę spokojniej. Chris dotrzymywał jej kroku.

- Była hinduistką? Czy jadła mięso?

- Tak! Twierdziła, że jest hinduistką, ale podobnie jak w innych sprawach wybierała z tej religii tylko to, co jej pasowało. Szczerze mówiąc, sądzę, że zależało jej po prostu na szokowaniu ludzi. I oczywiście na reinkarnacji.

- Reinkarnacji? - Omal nie upadł, potknąwszy się na nierówności chodnika.

- Widzisz, jeszcze po śmierci potrafi cię zaszokować. Bardzo byłaby z siebie dumna. W wypadku cioci Izzy nigdy nie miało się pewności, czy jest poważna, czy nie. Ale jeśli byłby możliwy powrót na ziemię po śmierci, dzięki sile własnej woli cioci Izzy na pewno dokonałaby tego.

- Dobry Boże - szepnął Chris.

- Choć Bóg jeden wie, w co by się wcieliła. Może byłaby flamingiem albo pawiem. Albo rasową kłaczą. Bardzo rozpieszczoną i zepsutą. Jak myślisz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - odparł.

- Chris, a jak to wyglądało u ciebie? Czy naprawdę Maitlandowie spędzają święta jak w opowieściach wigilijnych?

Jego rysy złagodniały.

- Jak najbardziej, łącznie z płonącym kominkiem i śpiewanymi przy akompaniamencie pianina kolędami. Mamy stary dom w Connecticut. W lecie to prawdziwy raj, a i na Boże Narodzenie też tam wracaliśmy. Zupełnie jak na rysunkach Curriera i Ivesa. Pewnie dlatego w tym roku jakoś nie mogę się odnaleźć. W związku z sezonem Anny i dlatego, że nie ma z nami ojca. Matka zdecydowała, że tym razem nie wyjedziemy do Connecticut.

Paisley zacisnęła mocno powieki, pragnąc opanować ból. Jedynym sposobem, by nie odczuwać żalu, że nie ma się takiej właśnie rodziny, było nie myślenie o tym w ogóle.

- Masz szczęście - powiedziała miękko.

- Chciałbym móc zrobić coś dla ciebie.

W jego oczach dojrzała tyle ciepła i tyle współczucia, że poczuła nagle, iż nie jest w stanie dłużej tego znieść.

- Daruj sobie tę litość, Maitland. - Spojrzała na niego ze złością, nie chciała poddać się własnej słabości. - Nie jestem jedną z was - wyrzuciła z siebie, a każde słowo zabrzmiało jak strzał. - Nie jestem taka jak Lydia, czy twoja matka i siostra, więc nie lituj się nade mną. Nie mogę tego znieść.

Jakby nic nie słysząc, powtórzył:

- Chciałbym móc zrobić coś dla ciebie.

Dlaczego nie zostawi jej samej? Mogły być tylko dwie przyczyny. Litość, której nie znosiła i poczucie winy, które, choć zupełnie niepotrzebne, łatwiej było jej zaakceptować.

A także wykorzystać.

Powoli uniosła palec do ust, jakby chciała coś zetrzeć -może okruszek korka?

- Ale jest coś, co mógłbyś zrobić, Christopherze Maitland. - Pozwoliła sobie na uśmiech. -I zrobisz to.

Odwróciła się szybko i wbiegła na jezdnię, nie zwracając uwagi na pisk hamulców, hałas klaksonów i obelgi kierowców. Chris nie mógł już nadażyć. Zatrzymała się wreszcie przecznicę dalej, by złapać oddech i spojrzeć za siebie. Christophera Maitlanda nie było widać w pobliżu.

- Paisley, to ty!

Paisley zatrzymała się w progu sypialni swojej siostry w ich rodzinnej posiadłości na Long Island.

- Wyglądasz cudownie Lexie. Bajecznie!

- Tak się denerwuję. Gdybym nie miała pomalowanych paznokci, na pewno już dawno byłyby obgryzione.

- Lexie wyciągnęła ku Paisley dłoń ze starannym manicurem. - A mama doprowadza mnie do szału. I wydaje mi się, że przytyłam dwa kilo.

Paisley też była zdenerwowana. W związku ze swymi planami na wieczór, drżała jak smagana wiatrem osika.

- Gdzie mama?

- Rozmawia przez telefon z restauracją, a ja...

- Dobrze. - Paisley zamknęła za sobą drzwi. - Czy widziałaś listę gości? Czy będzie dzisiaj Anna?

- Oczywiście. Sądzisz, że jestem za gruba na tę sukienkę? Mama zabiłaby mnie! Była dobra dziś rano, ale...

- Stój spokojnie, kochanie! Przestań się wiercić. -Paisley wygładziła dopasowany stanik sukienki z przedłużoną talią i poprawiła puszyste falbany. - Znakomicie, kochanie. Jak udało ci się namówić mamę, by pozwoliła ci założyć coś takiego?

- Obiecując, że nie włożę żadnej z wizytowych sukien ciotki Izzy, tak jak ty to zrobiłaś. - Lexie zachichotała. -Poza wszystkim - przedrzeźniała matkę - w Nowym Jorku nie nosi się sukien po babkach i ciotkach. To nie...

- ... nie Boston - dokończyła za nią Paisley.

- Dlaczego ja to robię, Paisley? - Lexie spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma, jej usta lekko drżały. Podczas gdy Paisley odziedziczyła urodę po Vandermeirach, Alexandra miała miodowozłote włosy i duże niebieskie oczy Montaguesów.

- Dlaczego nie postąpiłam tak jak ty i nie zdecydowałam się na kolację w klubie dziadka? To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie ma bardziej prestiżowego miejsca niż klub dziadka. Praktycznie trzeba być potomkiem Boga w prostej linii, aby zostać przyjętym! - Wyrzuciła w górę ręce i spojrzała w sufit. - Komu to wszystko potrzebne?

- Nikomu, kochanie. - Paisley zmarszczyła brwi, spostrzegając obowiązkowy sznur pereł na szyi siostry. -W najmniejszym stopniu nie winię cię za to. Po prostu zadzwonię do Mumsy i powiem, że zmieniłaś zdanie i...

- Oooch! - pisnęła Lexie. - Nie waż się!

- No dobrze, ale przynajmniej zrobmy coś z tym. -Paisley zdjęła naszyjnik. - A przy okazji, kto będzie towarzyszył Annie? Zdaje się, że młody Abercrombie?

- Co robisz z perłami mamy?

- Mam coś lepszego. - Z przetykanej złotem torebki Paisley wyjęła welwetową portmonetkę. Wydobyła z niej pojedynczy sznur pereł. - A może młodszy brat Adriana Brownwooda?

- To tylko inne perły. - Lexie była wyraźnie zawiedziona. - O, nie, ma szczęście. Nie musi iść z żadnym ze swoich chłopaków. Ma brata.

Bingo!

- To nie takie zwykłe „inne perły” - Paisley poprawiła naszyjnik na szyi Lexie. - One należą do rodziny Vandermeirów od siedmiu pokoleń. Wyjęłam je ze skrytki i postanowiłam, że będziesz miała dziś je na sobie, a potem wrócą do muzeum.

Duże, błyszczące perły wyglądały jak żywe, gdy Lexie z powagą obracała je w palcach.

- Zabiorę dzieci do muzeum, by pokazać im kiedyś kolie, którą nosiłam na swoim pierwszym balu.

- To prawie tak jak mama, która prowadziła nas do muzeum, byśmy obejrzały Renoira należącego do jednego z Montaguesów. - Łagodnie ścisnęła ramię Lexie.

Lexie zawirowała rozpromieniona radośnie. Gdy się zatrzymała już, zawołała:

- Niech no ci się przyjrzę! Wyglądasz ślicznie! I mamie będzie tak przyjemnie. Nie założysz jednej ze swoich kreacji?

- Umiesz dochować tajemnicy? - Paisley uniosła palec do ust i Lexie zrobiła to samo.

Paisley zniżyła głos do szeptu i wydobyła z torby swoją złotą, satynową spódnicę.

- Paisley, jesteś cudowna! - pisnęła Lexie. - Dlaczego ja nie umiem być taka, jak ty?

Cień zarysował się na twarzy Paisley, gdy patrzyła na słodką buzię siostry.

- Bo masz szczęście - odpowiedziała Paisley na wpół żartem. - I pamiętaj o tym.

Lexie zerknęła przez ramię na stojący przy łóżku zegar.

- Spójrz, która godzina.

- Nie zapomnij rękawiczek.

- Oczywiście. - Rzuciła się ku komódce. - Swego czasu mama kazała mi kupić cały tuzin, żebym nie musiała przy jakiejś ważnej okazji nosić przybrudzonych. - Wsunęła palce do środka, a Paisley pomogła jej naciągnąć rękawiczkę. - Mario obwoził mnie samochodem po całym mieście, bym mogła skompletować całe dwanaście par, nie było to więc śmiertelnie nudne.

- Mario?

- Nowy kierowca mamy. Poczekaj, aż go zobaczysz. Jest fantastyczny. Chodźmy na dół pokazać rodzicom, jakie jesteśmy piękne!

Paisley westchnęła.

- Czas, by stawić czoło smokom.

I Christopherowi Quincy Maitlandowi.

Rozdział piąty

Chris obejmował spojrzeniem salę balową Vandermeirów poszukując wzrokiem jednej osoby... której nie chciał zobaczyć.

Gdzie też ona była? Zniknęła w tłumie? Poza słowami przywitania Paisley nie odezwała się do niego przez cały wieczór, nie rzuciła w jego stronę ani jednego spojrzenia. Powinien być jej za to wdzięczny.

Lecz zamiast tego szalał. Doprowadzała go do szaleństwa.

W momencie, gdy spotkali się twarzą w twarz przy powitaniu, trochę zbyt długo przytrzymała w dłoni jego rękę, trochę zbyt uwodzicielsko wymówiła jego imię, zbyt śmiało upominała się o taniec z nim. Nie, żeby to było nieprzyjemne, ale sprawiła, że czuł się dość, nieswojo. Tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z jego zobowiązań wobec Lydii. Jakby myślała, że jest... wolny i zainteresowany. A on nie był ani wolny, ani zainteresowany. Oczywiście, że nie.

Po prostu przez cały wieczór nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Podczas obiadu nie wydarzyło się nic szczególnego. Oczywiście Paisley zachowywała się ekstrawagancko jedząc szparagi palcami, jak we Francji. Niestety, Anna spróbowała robić to samo. Walcząc z ociekającym po rękach masłem wyglądała jak głodny wróbel atakujący robaka. Po cichu przełknął ślinę.

- Kit.

Gdy odwrócił się, ujrzał przy boku matkę.

- Czy zgodzisz się zatańczyć ze swoją biedną matką?

- Biedna matka, dobre sobie. - Uśmiechnął się szeroko. - Wyglądasz oszalamiająco.

Skinęła mu głową w podziękowaniu za komplement i ujęła pod ramię. Po marmurowych schodach przeszli do ogromnej, owalnej sali balowej, z której widok rozciągał się na rzęście oświetlony ogród i wspaniałą oranżerię. Dołączyli do kręgu wirujących tancerzy. Chris rzucił okiem w głąb sali i oniemiał.

Paisley Vandermeir zbliżała się ku nim z drugiego końca parkietu. Wszyscy zatrzymali się, pozostawiając miejsce dla niej i jej obszernej spódnicy. Odsunął matkę na bok. Chyba nie...

Zmierzała prosto w jego stronę.

- Kit, co...

- Mamo, może byśmy...

- Przepraszam. - Paisley uśmiechnęła się słodko, uderzając lekko wachlarzem ramię jego matki.

I nagle jego matka - jego opanowana matka - ze zmarszczonymi brwiami taksowała wzrokiem Paisley. Uświadamiając sobie, że spojrzenia wszystkich skupiły się na nich, matka zrobiła jedyne, co mogła w tej sytuacji. Uśmiechnęła się, choć w jej oczach nie widać było radości i poklepała Chrisa po ramieniu.

- Mimo wszystko to jest koniec dwudziestego wieku. - Z wdziękiem ustąpiła Paisley miejsca.

- Zachowała się bardzo taktownie - zaszcebiotała, wślizgując się w jego ramiona. - Zwłaszcza, że nie darzy mnie szczególną sympatią.

- Obawiam się, że jest dosyć zbulwersowana.

- Gdyby zawsze udawało mi się tak łatwo. - Westchnęła. - Tańcz, kochanie. Tamujesz ruch.

Chris dał się unieść taktom muzyki, a Paisley podążyła za nim. W ogólnym rozbawieniu szybko zapomniano o całym incydencie. Trzymając Paisley w objęciach, Chris nie odczuwał już niepokoju, który towarzyszył mu od początku przyjęcia. Z odchyłoną do tyłu głową, Paisley wyglądała jak mieniąca się złotem ekscentryczna piękność. Taka lekka wydawała się w jego ramionach, a on czuł się podniecony niczym sztubak.

- Czy do każdego zwracasz się per kochanie? A może tylko do tych nieszczęśników, których zamierzasz dręczyć swoją uprzejmością?

- Dręczyć uprzejmością... podoba mi się to. - Zachichotała. - W moim życiu zaszła wspaniała zmiana! Byłeś taki miły, gdy zaopiekowałeś się mną tamtej nocy i wiedziałam, że byłoby ci przyjemnie...

Przerwał jej.

- Zmiana? Jakiego rodzaju, pod względem psychicznym czy uczuciowym?

- O, głuptasie. To był prawdziwy przełom, moje życie odmieniło się zupełnie.

- Ile szampana...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nic. Ani kropelki. Spadł mi z serca ogromny ciężar, dlatego czuję się taka lekka. Dokładnie tak, lekka. Ulotna.

- Zabrzmiało to zgrabnie i niepretensjonalnie.

- Ooo, dobry jesteś! - Zaśmiała się i ogarnęła ją przyjemna fala ciepła, gdy mocniej objął ją w talii. - Christopher - zaczęła podejrzliwie - a ty ile szampana wypijeś dzisiaj?

- Ani kropelki. - Zawirował z nią trochę zbyt gwałtownie. - Po tamtej nocy moja głowa jest mocno nadwreżona.

- Co za szkoda! Gdybyś tak miał kondycję Vandermeirów...

- Boże broń. - Zawirowali raz jeszcze, jej spódnica rozpostarła się jak żagiel podczas sztormu. - Mogłoby to być niezwykle niebezpieczne, panno Vandermeir. - Ale rzecz dziwna, wcale nie zabrzmiało to groźnie. A raczej dość zachęcająco.

- O czym ty mówisz? Debiuty? Niewinne młode dziewice - a przynajmniej takie udajemy - są wprowadzane do towarzystwa? Tak, wiem. Piekielnie nudne, przerażające, okropne zwyczaje. Nienawidzę ich. - Cała promieniała słonecznym niemal blaskiem.

- Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli ciebie i mnie. Czuję się, jakbym wypił już zbyt wiele, a pamiętasz jak to się skończyło ostatnim razem?

- Nawet nie myśl o tym! - Zesztywniała, nerwowo spoglądając na salę znad jego ramienia. - Jeśli mnie pocałujesz, zepsujesz wszystko! Wydasz się podły! Potworny! Podstępny! A ty musisz pozostać bez skazy!

- Teraz sobie przypominam, wypilem trochę szampana. O czym ty, na Boga, mówisz, Paisley?

- O mojej przemianie! Powiedziałam ci - jestem na krawędzi przepaści, a po drugiej stronie jest moja przyszłość. I dziś wieczorem mam zamiar zaatakować po raz pierwszy. I chcę, żeby wszyscy znali moje zamiary! Swój skandal poprowadzę ze smakiem! - Odrzuciła w tył głowę. - Czy to nie cudowne?

Nie był już radosny. Nie czuł już lekkości. Wręcz przeciwnie, miał wrażenie, jakby do stóp przywiązano mu ołowiane ciężary.

- Co też zrodziło się w tej twojej szalonej głowie, Paisley Vandermeir?

- O, nic takiego - powiedziała wymijająco. - Nie dziś. Dziś nie chcę niczym zakłócić balu Lexie. Najwyżej... dodać mu odrobinę pikanterii, sprowokować różne domysły. Czy wiesz, że masz zmarszczki na czole? Nigdy przedtem nie zwróciłam na nie uwagi, ale teraz widać je dość wyraźnie.

Muzyka ucichła. Zatrzymali się powoli, gdy skończyła się melodia.

- Wydaje mi się, że powinniśmy wyjść na chwilę i przedyskutować to.

- O, nie ma o czym mówić. Po prostu graj dalej swoją rolę, a wszystko będzie bardzo dobrze, kochanie. - Rozłożyła wachlarz i uśmiechnęła się nieśmiało. - O, twoja matka. Chyba cię potrzebuje.

-Co takiego? - Odwrócił się, ale matki nigdzie nie było widać. Gdy odwrócił się ponownie, zniknęła także i Paisley.

Godzinę później, wspinając się po schodach sali balowej, Paisley miała wrażenie, jakby to był debiut jej, a nie Lexie. I w pewnym sensie tak właśnie było.

Czuła w żyłach rozpaloną krew. Nawet powietrze, wypełnione zapachem tysiąca perfum, zdawało się szeleścić. Dotarła do szczytu schodów i przystanęła.

Nikt jej nie zauważył. Jeszcze nie.

Zostało już mało czasu. Niedługo wybije północ. Ojciec wzniesie specjalny toast na *cześć* swojej córki, Alexandry. A wówczas, gdy Cała uwaga skupi się na nim, ona uczyni swój pierwszy krok.

Pamiętała własny toast. Klub dziadka był ciepły i przytulny, grono kameralne, przynajmniej jak na Vandermeirów. Trzy tuziny najbliższej rodziny i przyjaciół zebrały się by uhonorować dość niechętną całemu przedsięwzięciu debutantkę. Staranny dobór gości i miejsca zadowolić

musiał najwybredniejsze gusty. Paisley Vandermeir została wprowadzona do towarzystwa w stylu najlepszych nowojorskich elit.

Nikt nie przejął się tym, że Paisley nie skorzystała z możliwości, by cała uroczystość odbyła się w Zgromadzeniu Juniorów, a już najmniej martwiła się tym sama Paisley. Razem z ciocią Izzy spędziły tamto Boże Narodzenie w Paryżu. Prawdę mówiąc, dokładnie w momencie, gdy miałyby świadczyć obowiązkowi grzeczności, znalazła się w centrum zainteresowania zachwyconej nią grupy młodych studentów w kawiarni na Sekwaną.

A teraz, zaledwie osiem lat później i ona miała w końcu złożyć swoje ukłony. Nie po to, by przedstawić się towarzystwu, lecz by się od niego odciąć.

Światła lekko przygasły, a kelnerzy rozpoczęli roznoszenie szampana. Paisley nie zwracała na nich uwagi, przygotowując się wewnętrznie na to, co miało się wydarzyć. Nie słyszała prawie słów ojca, ani aprobujących szeptów gości. Obserwowała jedynie jak Lexie całuje ojca w policzek i trzymając go pod ramię promienieje, otoczona zachwyconymi spojrzeniami.

Paisley postąpiła do przodu, z każdym krokiem przyśpieszając tempo. Szepty, zwrócone na nią spojrzenia. ułamek sekundy uświadomiła sobie, czego spodziewali się wszyscy - niekonwencjonalnego pozdrowienia od niekonwencjonalnej siostry. Mogłaby to uczynić, zapomnieć o skandalu i nikt nigdy nie dowiedziałby się, co też zamierzała...

Odwróciła się od siostry i ojca, Uwodzicielsko zwolniła kroku. Rozłożyła wachlarz i skierowała go ku dekolтови wraz, ze spojrzeniami zebranych na sali gości.

O tak, towarzyszyły jej spojrzenia wszystkich. Obserwowali, jak spod spuszcanych powiek patrzy na... Christophera Quincy Maitlanda. Jej prowokujący, a jego zdumiony wzrok spotkały się, gdy szła ku niemu, aż wreszcie znalazła się tuż przed nim. I wówczas, wysuwając lewą nogę do tyłu nie tylko dygnęła, ale złożyła głęboki dworski ukłon, niczym poddany przyklękający przed swoim władcą. Wyglądała jak złota róża rzucona mu do stóp. Podnosząc wolno głowę słyszała wstrzymane oddechy, czuła rozpierające żyły napięcie i wiedziała, że osiągnęła swój cel

Paisley Vandermeir śmiało i uwodzicielsko, ale z jaką elegancją ofiarowała siebie nie towarzystwu lecz mężczyźnie. I to nie byle jakiemu mężczyźnie!

Mężczyźnie należącemu do innej.

Przepełniało ją uczucie triumfu. Powoli uniosła głowę, ukazując przepysznie długą szyję i śliczny dekolt. W jej uśmiechu była pokusa - pokusa przeznaczona dla gniewnych oczu Christophera Maitlanda.

Pochylił się, chwycił ją za ramiona i postawił na równe nogi.

- Powiedziała podejrzliwość, a nie złość - syknęła, nie przestając się uśmiechać.

- Co, u diabła, sądzisz, że...

- Trochę za bardzo wczułeś się w rolę - szepnęła zza wachlarza, czując w ramionach igielki bólu.

- Niczego nie gram - warknął, potem opamiętał się i zmusił do uśmiechu. - Jestem pewien, że trochę za dużo pani wypięła, panno Vandermeir. Może pozwoli pani pomóc sobie...

Rzuciła szybkie spojrzenie na estradę. Nie było już tam jej ojca.

- Chyba potrzebuję trochę świeżego powietrza - za-świergotała, ale kiedy Chris sprowadził ją ze schodów i znaleźli się na tarasie z ledwością powstrzymała się, by nie zdzielić go wachlarzem. - Ty miałeś pozostać niewinny - mruknęła - a nie atakować!

- A właśnie, jestem gotów atakować twoją małą, słodką...

Cieszyła się, że powiew mroźnego powietrza ogarnął ich zanim jeszcze zdążył do końca wysączyć swój jad.

- Mój płaszcz jest...

- Do diabła z twoim płaszczem!

- Dobrze, Christopher. - Trochę już spokojniejsza rozcierała ramiona i obejmowała spojrzeniem pusty taras. - Teraz, kiedy jest już zupełnie jasne, że nie chcesz mieć ze mną romansu, uważam, że powinieneś wrócić na salę i...

- Romansu! Czy ty nie jesteś stuknięta?

- Mówię poważnie, Chris. Nikt nie może pomyśleć, że masz ze mną coś wspólnego. Jeśli zaraz nie wrócisz, ludzie zaczną zastanawiać się, co tu robimy? A więc wracaj!

Chris przyglądał się jej zdumiony.

- A co takiego robisz ze mną?

- O, to proste. Narzucam ci się.

- Dokładnie tak sobie pomyślałem. - Zamknął oczy, zdążyła policzyć do dziesięciu, zanim je znów otworzył.

- Ale dlaczego?

- Bo jesteś zaręczony. Czy to nie wspaniałe? - Przytupywała nogami, nie chcąc, by jej stopy całkiem zamarzły.

- Mój skandal! Mój przełom! Mówiłam ci!

- Zabijecie.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku, zaśmiała się nerwowo i cofnęła.

- Wśród gości byli rodzice Lydii - powiedział głosem miękkim lecz śmiertelnie poważnym. - Nie sądzę, żebyś o tym wiedziała.

Odgarnęła z oczu kosmyki opadających niesfornie włosów.

- Ale to niczego nie zmienia. Czy nie rozumiesz? To ja ofiarowałam się tobie, a nie ty mnie. - Obserwując wyraz jego twarzy doszła do wniosku, że rozsądnie będzie cofnąć się jeszcze parę kroków. - Naprawdę, Chris, traktujesz to wszystko zbyt poważnie! Wystarczy żebyś teraz wrócił, udając niewinnego i rozbawionego. Jesteś w tym znakomity. Nikt na tym nie ucierpi, a ja będę miała swój... no, resztę zostaw mnie!

- Resztę? Paisley Vandermeir, jakie jeszcze niespodzianki trzymasz ukryte w rękawie?

Nagle w prawdziwej panice zaczęła cofać się przed złością Christophera Maitlanda.

- Żadnych! - zdołała wykrztusić. - Widzisz? - Wskazała na swoje nagie, pokryte gęsią skórką ramiona. - Żadnych rękawów!

Jej gest okazał się kroplą, która przepełniła miarę. Rzucił się na nią.

- Paisley, uważaj... Udało jej się umknąć.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła czując, że traci równowagę i spada.

- Paisley!

Chwyciła jego wyciągniętą rękę.

- Poczekaj chwili...

... i pociągnęła go za sobą.

Wpadła w lodowatą wodę, a na niej wylądowało coś ciężkiego. Jej paniczne okrzyki zmieniły się w donośne bulgotanie. Ktoś schwycił ją za

włosy i wyciągnął do góry. Jej usta wreszcie znalazły się ponad powierzchnią i cudowne powietrze wypełniło jej płuca.

- Nie umiem pływać! - wykrztusiła.

Czyjeś dłonie ujęły ją mocno, ale zamiast wyciągnąć na bezpieczny brzeg, potrząsnęły nią, aż zadzwoniła zębami. Już otwierała usta do kolejnego krzyku, gdy zobaczyła, że to Chris ją trzyma, a lodowate krople zwisają mu z włosów, nosa, smokingu...

Szczękając zębami rozejrzała się wokół i zobaczyła błyszczącą tafle niezbyt chyba głębokiej wody, która ogarniała jej nogi do wysokości kolan.

- Nie tonę?

- Jeszcze nie - powiedział cierpko.

Zacząła mozolnie gramolić się na brzeg fontanny, ale złotą tkanina nasiąknięta wodą ciągnęła ją w dół niczym ołów. Starła się unieść spódnicę w górę, lecz mimo rozpaczliwych wysiłków nie dała rady. Długie metry mokrej satyny krępowały jej ruchy. Wreszcie dzielnie postąpiła do przodu, lecz natychmiast potknąwszy się, upadła na twarz. Parskając wodą wynurzyła się, by nabrać powietrza i usiadła. Żałosna i bezbronna.

I wściekła.

- Spójrz, co mi zrobiłeś!

Wściekłość miała rzekomo rozgrzewać, ale Chris w tym momencie był innego zdania - w żaden sposób nie mógł opanować drżenia i szczękania zębami. Choć z drugiej strony, zimny prysznic był zdecydowanie najpewniejszą drogą, by ostudzić zbyt płomienne uczucia. Z wysiłkiem pokonywał opór wody, jego lodowate dłonie zaciskały się w pięści.

Był tak zły i zmarznięty, że chociaż widział, jak mokra suknia zsuwa się z Paisley obnażając ją prawie całkowicie, czuł jedynie satysfakcję, że pewnie jej jest jeszcze zimniej niż jemu.

- Popchnąłeś mnie! - oskarżyła go.

- Próbowałem cię złapać, ty mała idiotko! - Chwyił ją za rękę i pomógł się podnieść. - Chodźmy stąd, zanim ktoś wyjrzy i nas zobaczy.

Paisley podniosła głowę ku migoczącym światłom balowej sali i unosząc w dłoniach spódnicę przebrnęła wreszcie tych kilka kroków dzielących ją od krawędzi. Tu się zatrzymała. Wyglądała jak przemoczony, pozłacany szczur.

- Czy to nie wstyd? - Przyglądał się jej z rękami opartymi na biodrach.

- Lepiej byś coś ze sobą zrobiła, bo ja ci nie pomogę.

- Christopherze Quincy Maitlandzie, jedyną rzeczą, która trzyma mnie w tej piekielnej fontannie jest moja suknia. - **Sięgnęła** dłonią do tyłu w poszukiwaniu suwaka.

Wskoczył do wody.

- Powinienem zostawić cię tu, żebyś sama wymyśliła, jak się wyplątać z tej awantury. I zrobiłbym to, gdybym się nie bał, że ociekająca wodą wrócisz na bal Alexandry.

- Och, zamknij się i pomóż mi! - Zaczęła kawałek po kawałku wyciągać z basenu przemoczoną tkaninę, przerzucając ją poza krawędź.

- Przy takim tempie spędzisz tutaj pół nocy - mruknął i wziął ją na rękę. - Do **licha**, jesteś ciężka!

- Nie jestem! To wszystko woda, a moja suknia nawet sucha waży tonę. Nie zniszcz mi jej!

W jakiś sposób udało się Chrisowi przenieść ją na ziemię.

- Jak zamierzasz wejść do środka, żeby nikt cię nie zobaczył?

- Nie mogę tam wrócić! W tym stanie?! - Ścisnęła w dłoniach, spódnice, niepewna, czy zacząć ją wyzymać, czy raczej jej nie dotykać.

- Co więc proponujesz? - warknął. On, Christopher Quincy Maitland, który więcej razy towarzyszył debiutantkom niż którykolwiek z jego znajomych i ani razu nie miał przy tym żadnych kłopotów, właśnie on stał teraz w środku zimy na brzegu fontanny, ociekając wodą, wściekły i sfrustrowany niczym...

- Już wiem. Chodź za mną - wyrwała go z zamyślenia.

Nie zastanawiał się nad tym, jak musieli wyglądać, gdy przemoczeni do suchej nitki obchodzili dookoła rezydencję Vandermeirów. Zanim dotarli do pomieszczeń służby, czuł, że pod wpływem wilgoci i przenikliwego wiatru temperatura Jego ciała spadła co najmniej o kilka stopni. A przecież nie był nawet w połowie tak obnażony, jak Paisley.

Zastukała do okna i po chwili pojawił się w nim młody mężczyzna z niezbyt sympatyczną miną. Wytarł umazane farbą ręce, zanim uchylił okno.

- Ty jesteś Mario? - spytała Paisley, cały czas szczękając zębami. - Proszę, my... mieliśmy wypadek. Czy mógłbyś przyprowadzić samochód i odwieźć nas do miasta?

Po chwili wahania skinął głową i parę minut później zajechał lśniąca, czarna limuzyna. Chris poczuł ulgę, gdy zauważył, że kierowca okazał się przewidujący i rozwinął na tylnej szybie rolety. Sam otworzył drzwi i wepchnął Paisley do środka, zanim Mario zdążył jeszcze wysiąść.

- Uważaj na moją sukienkę!

- Zajmuje całe siedzenie. Przesuń ją albo wyrzuć -burknął Chris wskakując i zatraskując drzwi.

Samochód ruszył z piskiem opon.

Paisley siedziała skulona w kącie, obejmując się rękami i mając nadzieję, że w ten sposób będzie jej cieplej.

Chris zamknął oczy i otworzył je dopiero, gdy samochód zatrzymał się przed domem. Nie chciał patrzeć, jak Paisley drży i marznie, choć zdecydowanie na to zasługiwała.

Wysiadł z samochodu tuż za nią.

- Nie masz chyba zamiaru... - zaczęła.

- Jedyne zamiary jakie mam, to złapać taksówkę. Towarzystwa Vandermeirów starczy mi już na całe życie - nigdy więcej!

Odwróciła głowę ku kierowcy.

- Dz-dziękuję - powiedziała uprzejmie. - Zajmę się tym, żebyś został odpowiednio wynagrodzony.

Uśmiech na twarzy mężczyzny upewnił Chrisa, że już sam widok Paisley był dla niego wystarczającą nagrodą.

Odwrócił się do niej plecami, wbił ręce w kieszenie i spróbował odejść nonszalanckim krokiem w butach skrzypiących przy każdym kolejnym kroku.

- Nigdy więcej - mruknął. Chociaż nie patrzył, gdy wchodziła po schodach, odczuwał głęboką satysfakcję, wyobrażając sobie, jak żaloszny to musi być widok.

Był na nią bardzo zły. Im gorętszy gniew go ogarniał, tym bardziej wmawiał w siebie, że Paisley go nie interesuje. Za wszelką cenę nie chciał ulec jej urokowi.

I właśnie wtedy, gdy ona była już w swoim ciepłym mieszkaniu, a jego od domu dzieliła tylko przejażdżka taksówką, musiał przemóc się, podejść do jej drzwi i zadzwonić.

- T-a-ak? - Jej głos zadźwięczał w domofonie.

- Chyba zgubiłem portfel w fontannie.

- Co takiego? Mów głośniej! Nic nie słyszę!

- Niech to diabli! - krzyknął w stronę okna. - Muszę pożyczyć pieniądze na taksówkę.

RS

Rozdział szósty

- Możesz sobie pomarzyć, Maitland! - wycedziła Paisley przez domofon, po czym gwałtownie wyłączyła się.

Dzwonek omal nie został wtłoczony w ścianę, gdy Chris go ponownie nacisnął.

- "Nigdy więcej" nie trwało zbyt długo, prawda?

- Wiesz, że zwrócę ci te pieniądze.

- Ile chcesz? zapytała.

- Dziesięć dolarów będzie aż nadto - warknął. - Możesz mi wierzyć, jestem tego wart.

Paisley zazgrzytała zębami.

- Dobrze - zdecydowała się. - Wejdź na górę.

Odblokowała drzwi, zdjęła zasuwę, po czym rozpoczęła prawdziwą mękę z przesuwaniem długich metrów przemoczonej tkaniny, by umożliwić mu przejście.

Sięgnęła do suwaka. Musiała zrzucić to z siebie i założyć coś ciepłego i... trach. Po kilku centymetrach suwak się zaciął.

Na schodach słyhać było już kroki. Usiłowała podciągnąć go z powrotem, ale zamek ani drgnął za to drzwi - tak. Chris wsunął głowę do środka, patrzył na nią z gniewną miną, cały czas rozcierając ramiona. Jego niebieskie oczy były chmurne, włosy miał wilgotne, a czarny krawat zmięty, lecz wciąż jeszcze elegancko zawiązany.

- Drobne leżą w blaszanym pudełku w kuchni koło piecyka. - Jedną ręką odgarnęła włosy z twarzy. - Nie mogę się ruszyć, bo jestem tu uwięziona.

Skinał głową i wszedł do kuchni. Słyszała, jak przesuwiał coś, a potem zawołał:

- Paisley, tutaj nie ma nawet trzech dolarów.

- Na wypadek gdybyś zapomniał, opuściłam przyjęcie dosyć pośpiesznie. Mój samochód wciąż jest jeszcze na Long Island.

- Chcesz powiedzieć - wyjrzał zza drzwi z wyrazem niedowierzania na twarzy - że to jest cała gotówka, jaką masz?

Z uwagą przyglądała się swoim paznokciom.

- Niestety, tak.

- Znakomicie. Czy mógłbym przynajmniej skorzystać z telefonu?

- O, tak, proszę bardzo. - Spróbowała znowu podciągnąć zamek do góry. Nie udało się jej. Suwak pozostał rozpięty do połowy, odsłaniając niemal całe plecy. Chris zmarszczył brwi.

- Jakieś kłopoty?

- Tak, mały kłopot. - Dała sobie spokój z dyskrecją i odwróciła się. - Zaciął mi się suwak, a jeśli nie pozbędę się zaraz tej sukienki, z pewnością umrę na zapalenie płuc! Naprawdę nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam.

- Nie chcesz chyba usłyszeć odpowiedzi.

- Nie od ciebie. Jestem pewna, że jeszcze dość nasłucham się od mojej matki - powiedziała.

- Mogę ci pomóc. Gdzie są obcegi?

- Obcegi? Myślisz, że pozwoliłabym ci zbliżyć się do tej sukni, tego arcydzieła z obcęgami? - Przejął ją zimny dreszcz. - W kuchni. W narożnej szufladzie. Przy lodówce. - Gdy wynurzył się z parą potężnych obcęgów, cofnęła się. - Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Wiem, co robię. Odwróć się i pokaż ten suwak.

- Niestety nie mam wyboru.

- Nie masz. Odwróć się.

Gdy pociągnął lekko za zamek poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Widzę już, o co chodzi - powiedział. - W zamku przycięty jest kawałek materiału. Stój spokojnie. Raz, dwa...

Oparła ręce na biodrach i wstrzymała oddech.

- Trzy!

Pociągnął - zamek ustąpił natychmiast.

W sekundę później poczuła na ciele powiew zimnego wiatru. Wzięła głęboki oddech, przyciskając mocno do piersi suknię.

- Co zrobiłeś? Odchrząknął.

- Z zamkiem już wszystko w porządku.

Czuła, że jej plecy były całkiem odsłonięte. Spróbowała wycofać się do sypialni, ale nie umiała wyplatać się z obfitych fałd, które splątały jej nogi i nie mogła też unieść ich w górę, gdyż rękami trzymała zsuwającą się z piersi suknię.

- Tak się cieszę - mruknęła przez zęby - że wiedziałeś, co robisz.

Nie odpowiedział.

Co on robił? Dlaczego nie ruszał się i nie odzywał, nie robił nic, tylko stał za nią i gapił się? Czuła na sobie jego wzrok.

- Możesz teraz zadzwonić. - Z rozmachem kopnęła piętrzącą się na ziemi tkaninę i udało się jej odejść dwa kroki od niego. A on wciąż jeszcze nie wykrztusił z siebie nawet jednego słowa. Jej sutki były twarde i napięte - przy zetknięciu z zimną satyną nie mogło być inaczej. Nie miało to, oczywiście, żadnego związku z tym, że jego ręka przesuwiała się po jej plecach, delikatnie je masując.

- Masz poodgniataną skórę - powiedział chrapliwie. -Czy to nie boli?

Wstrząsnął nią dreszcz. Spróbowała bardziej odsunąć się od niego. Ale nie mogła. Nie pozwalała jej na to suknia.

- To... to suknia. Jest w nią wszyty fiszbinowy gorset.

- Drżysz.

Zacisnęła mocno powieki i wstrzymała oddech, gdy jego dłonie wsunęły się pod moką satynę i rozpoczęły wędrówkę po jej ciele, wzbudzając w niej drzenie i zostawiając za sobą smugę ciepła.

- Co robisz? - jęknęła.

Jego ręce powędrowały wyżej. Obejmował ją od tyłu. Palce wspinały się po jej żebrach, kciukiem obrysowywał kształt piersi. Zbyt późno uświadomiła sobie, że sama udzieliła mu przyzwolenia. Nie przyciskała już mocno do ciała mokrej tkaniny. Opuściła ręce, gdy jego dłonie wspinały się coraz wyżej; czuła, jak pieścił jej sutki, a potem nagle zamarł. Czyżby obudził się w nim głos rozsądku?

Obrócił ją w ramionach i przyciągnął do siebie. Nie padło ani jedno słowo. Ich usta spotkały się, przygarnął ją mocniej.

Westchnęła, gdy przywarli do siebie, a cienka, mokra tkanina nie była dla nich żadną przeszkodą. Czuła dotyk jego ciała, ramion, ust, ogarniało ją emanujące z niego ciepło.

Zupełnie nie była przygotowana na to, co powiedział. Oparł ręce na jej ramionach i ogromnym wysiłkiem woli oderwał się od niej.

- Paisley - szepnął. - Nie możemy tego zrobić.

Nie wiedziała, czy za chwilę się rozplacze, czy zacznie się śmiać. Powinna mieć wyrzuty sumienia, lecz nie miała. Żądza i pragnienie wciąż jeszcze nie dawały za wygraną. Nie tak to sobie planowała. A jednak

przywarła do niego i wtedy zrozumiała. Pożądanie przemieszane z poczuciem winy było równie silne jak dręczące.

Mimo wszystko była jedną z Vandermeirów.

Przechyliła do tyłu głowę, podając mu usta. Wiedziała, że kiedy nadejdzie ranek będzie tego żałować. Czuła, że myślał tak samo.

- O, Paisley - jęknął, przyciągając ją do siebie. Zaczął dosłownie pożerać ją pocałunkami. Nazywał się przecież Quincy.

Nie były to te same pocałunki, co ubiegłej nocy. Poprzednie smakowały brandy, w tych czuła pożądanie. Tamtej nocy za wszystko uczynili odpowiedzialnym stuletni koniak. Tym razem żadne z nich nie miało wytłumaczenia. Przesunął językiem po jej wargach, rozchylając je. Przyłgnęła mocniej, zaplątując palce w jego włosy.

Wczorajsze skandale, jutrzejsze konsekwencje, to co powinno i nie powinno się stać straciło znaczenie. Liczył się tylko stan obecny. Nikt jeszcze nie całował jej w ten sposób, nigdy jeszcze nie uległa nikomu tak bez reszty.

Pragnęła go.

Gdy oderwał na chwilę od niej usta, wyjął z kieszeni moką chusteczkę i otarł jej oczy i policzki.

- Wyglądasz niewinnie jak dziecko.

- Chciałabym czuć się tak niewinnie - szepnęła. - Czy możesz to sprawić, Chris? Czy możesz sprawić, bym czuła się mniej winna?

- Gdybym tylko mógł... dla nas obojga. - Pogładził kciukiem jej policzek. Powietrze wokół nich zdawało się być nasycone pokusą.

Wiedziała, że nie powinni się jej poddać. Ale nie umiała z tym walczyć. Nie chciała.

Christopher nie panował już nad sobą. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni; tym razem nie narzekał, że jest ciężka. Położył ją na łóżku i przykleknął obok; nie napotkał żadnego sprzeciwu, gdy uwalniał ją z lodowatych fałd tkaniny. Obierał ją z sukni jak brzoskwinie, pozostawiając drżącą i wilgotną. Uwolnił jej piersi; wstrzymała oddech, unosząc się na łokciach i wyginając plecy w łuk. Płatanina falban opadła na ziemię, przesunął ręką wzdłuż gładkich ud, pajęczyna szemrzącego złota w postaci pończoch zamigotała na górze ciężkich zwojów.

Usiadła gwałtownie, rozglądając się na wszystkie strony.

- Co się stało?

Był tuż przy jej boku, czuła ciepło jego ciała, wystarczyło tylko unieść głowę i wtulić ją w zagłębienie na szyi, by oddychać jego zapachem.

Owinęła ręce wokół niego i poddała się pieścizdom, szeptanym zaklęciom, delikatnym pocałunkom. I wtedy... o szybę zadzwonił deszcz...

- Posłuchaj... - wyslizgnęła się z uścisku, podbiegła do okna i odsunęła zasłony. - Zobacz. Pada. - Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, otworzyła szeroko okiennice, podmuch wilgotnego powietrza wdarł się do pokoju, przynosząc ze sobą ożywczy chłód. Krople deszczu uderzały o parapet. Gdy odwróciła się, Chris stał już przy jej boku.

- Czy czujesz to? - spytała. - Czy czujesz zieleń?

- Czuję spaliny.

- Nie. - Potrząsnęła gwałtownie głową i drżąc wtuliła się w niego. - W deszczu zawsze czuć zieleń, liście, świeżość.

Objął ją i delikatnie pogładził.

- Byłam kiedyś częścią natury. Żyłam tam... przed Nowym Jorkiem. - Wstrząsnął nią dreszcz i przytuliła się do niego mocniej. - Pozbawili mnie

tego, nigdy już tam nie wrócę. Ale czasami, kiedy pada deszcz, ogarniają mnie wspomnienia.

- Jesteś słodka.

- Nigdy jeszcze nikt tak do mnie nie mówił. - Przesunęła palec po mokrym parapecie. - Zwracali się do mnie w różny sposób, ale nigdy tak.

- Nie jest ci zimno?

- Chyba nikt nie powiedział mi, że jestem słodka. Słodka to tak jak różowe landrynki i grzeczne dygnięcia. A ja byłam zawsze jak pstrokaty jedwab i pstryczek w nos. -I trochę bólu i wiele obaw...

Zwróciła ku niemu oczy i to, co ujrzała rozproszyło ciemności i strach. Chciał coś powiedzieć, lecz przyłożyła palec do jego ust i potrząsnęła głową. Jeden po drugim odpinała guziki; czarny jedwab, którym był przepasany, opadł na ziemię. Chwilę później znalazł się tam także jego smoking.

- Jesteś piękny - szepnęła.

Potrząsnął głową i zaśmiał się. Na jego czole znów pojawiły się zmarszczki - te same drobne linie, które po raz pierwszy dostrzegła kilka godzin temu.

- Jesteś boska.

Pokręciła przecząco głową i opadła na łóżko. Przesuwał usta wzdłuż jej szyi, delikatnie ją kęsając.

- Jesteś... słodka.

- Nigdy nie byłam. - Zachłysnęła się powietrzem. Chciała, by jej głos brzmiał normalnie, gdy jego usta błędziły po jej ciele. -I nigdy nie będę.

- Ale jesteś...

Ustami wspiał się na wierzchołek piersi, posmakował go koniuszkiem języka i począł spijać nektar jej ciała. Dreszcze rozkoszy, słodkiej, zakazanej rozkoszy, przepełniły ją, gdy tańczyła pod nim, obejmując ramionami jego kark. Pieścił ją coraz namiętniej, coraz niecierpliwiej, wreszcie odnalazł gorące, wilgotne wejście do jej ciała i podrażnił je... Pragnęła odwrócić wzrok, ukryć się w ciemności, lecz jego intensywne spojrzenie, miękki dotyk i delikatne pieszczoty przykuły ją do materaca. Jej ciało płonęło z pożądania. A on wciąż patrzył, dotykał i pieścił, przypuszczał miłosne ataki, sprawiając, że była coraz bliżej... bliżej... Schwyciła ręką brzeg łóżka, wierzchem drugiej dłoni zakryła usta, gdy poczuła na sobie jego ciężar. Powoli poruszył się, wypełniając ją sobą. Nie pragnęła już mroku, zatapiając się w jego oczach, rozchylnych ustach, -rytmicznie poruszających się biodrach. Z każdą chwilą była coraz bliżej... bliżej... aż jęknęła i wygięła się w łuk pulsując pod nim. Przywarł wargami do jej piersi; obejmowała go mocniej. Dyszała, łkała, drżała, wydawało się jej, że umrze, jeśli on nie przerwie pieszczot. Fala spokoju spłynęła na nią dopiero, gdy poczuła w sobie wilgotne ciepło. Ogarnęła go ramionami. Byli spleceni ze sobą. Nie poruszali się, po prostu trwali w jedno.

Ruchy Chrisa były dość niezgrabne, gdy nalewał do dzbanka parującą wodę, ubrany w czerwony, jedwabny szlafrok Paisley. Nigdy przedtem nie używał sypkiej herbaty. Zmarszczył brwi i z powrotem przykrył dzbanek „kocią głową”. Herbata naciągała, podczas gdy on szukał sitka. Przeszukał wszystkie szuflady i ani śladu. Niech to diabli! Zatrzasnął z hukiem ostatnią i z niepokojem spojrzał w stronę sypialni, czy przypadkiem Paisley się nie obudziła.

Nalał do szklanki trochę herbaty, wypił łyk i oparł się o kuchenny blat.

Paisley... Była tak krucha i delikatna. Sama prosiła się o kłopoty wciągając go w skandal i nie pytając nawet o zdanie. A teraz on czuł się odpowiedzialny za całe to zamieszanie. Czuł się odpowiedzialny, bo jej uległ.

Nie uchronił jej przed winą, która powinna spaść tylko na niego.

Co też ja, u diabła, zrobiłem?

Przyglądał się ukruszonemu tynkowi i wypłowiałym, szarym kafelkom kuchennego blatu.

Dokładnie to, czego pragnąłem od pierwszej chwili, gdy ją tylko ujrzałem.

I w tym właśnie tkwi cały problem. Wyprostował się, wylał resztę herbaty do zlewu i przeszedł przez jadalnię do holu. Zasłony w sypialni falowały poruszane łagodnym wiatrem, a ona spała niczym dziecko.

Drobne, kobiece ciało owinięte białym prześcieradłem unosiło się w rytm spokojnego oddechu. Podeszedł bliżej. Nawet gdy spała, jej rozchylone wargi obiecywały niebo.

Cofnął się. Czuł się niezręcznie po tym, co zaszło między nimi. Wrócił do holu, otworzył jedno z zamkniętych drzwi. Śmieszne. Uświadomił sobie, że robi rzeczy całkiem obce jego naturze: mieszał się w nie swoje sprawy, badał, starał się rozwikłać tajemnicę, jaką była sama Paisley. A co ważniejsze, chciał zrozumieć, co go tak bardzo w niej pociągało.

Włączył lampę i pokój zalał różowy blask - efekt splotniałej, czerwonej chusty zarzuconej na abażur. Trzy wysokie regały stały po jednej stronie pokoju, a na przeciwległej ścianie ciągnęły się długie rzędy półek z książkami. Zbiór przedziwnych szpargałów i bibelotów - gramofon, kilka starych lalek, albumy - zajmował róg pokoju. Znajdujące się obok drzwi do

garderoby były otwarte. Zaintrygowała go jej zawartość. Pociągnął sznureczek, zapalając światło i jego oczom ukazała się bajecznie kolorowa kolekcja damskich strojów, osłoniętych plastikowymi pokrowcami. Kolekcja kompletowana przez całe życie. Bardzo długie życie. Przesunął ręką po rzędzie sukien i jego wzrok przyciągnęła pewna szczególna kreacja.

Tę naszywaną cekinami widział już przedtem. Odsunął zamek torby i wsunął rękę do środka, by pogładzić tkaninę. Nie spodziewał się, że jej ciężar i zapach perfum Paisley tak na niego podziałają.

Z ociąganiem zamknął pokrowiec. Do wieszaka przymocowany był niewielki bilecik z numerem 306. Zdjął przychepione do drzwi kartki, na których charakterystycznym pismem Paisley wypisana była lista znajdujących się w pomieszczeniu strojów. Odnalazł pozycję 306.

„Wieczorowa suknia bez rękawów z przedłużonym stanem, kloszowa spódnica o nieregularnym brzegu; czarny, jedwabny szyfon wyszywany cekinami i kryształkami, spód wykończony koronką. Paryż: Callot Soeurs, 1928. " Na marginesie nakreślone było ołówkiem: *Przeznaczone dla Działu Strojów Metropolitan Museum of Art, wtorek 10 grudnia.*

Poczuł dziwne ukłucie w okolicy serca. Z tą suknią związana była historia, której głównymi bohaterami byli Izadora i jego dziadek, a teraz zaś on i Paisley. Niedorzeczną wydała się myśl, że tę suknię mają oglądać i wypowiadać się na temat jej krawieckiego kunsztu ludzie, nie znający fascynujących faktów o kobietach, które tę kreację nosiły.

- Nic dziwnego...

Omam nie upuścił kartek na ziemię. W drzwiach stała Paisley owinięta prześcieradłem, przeciągając się leciutko.

- Nic dziwnego, że nie mogłam znaleźć szlafroka. -Podeszła do niego, materiał ciągnął się za nią po ziemi. -Dobrze ci w czerwonym, musisz go częściej nosić.

- Naprawdę? - spytał rozbawiony. Była w każdym calu właśnie tak niebezpiecznie rozkoszna, jak się tego obawiał. - Mogę go więc zatrzymać?

- Nie, nie możesz. - Poprawiła mu kołnierz, uśmiechając się przekornie. - Ale możesz go zakładać zawsze, kiedy tu będziesz.

- Czuję się zaszczycony. Zastanawiałem się właśnie nad historią mody i wydaje mi się, że ta szata mogłaby nam wiele ciekawego opowiedzieć.

- Na pewno.

- Ale chyba lepiej będzie, jeśli ci ją zwrócę.

- A co, chciałbyś założyć? - Weszła do garderoby.

Przecisnęła się obok niego, zanurzając się w ciemną głębię. - W ostatnich dniach wszystkie stroje były przeglądane, czyszczone, szacowane, przygotowywane do przekazania jako część majątku. - Owinęła się szczelniej prześcieradłem i wzięła do ręki ciężki, drewniany wieszak. Kiedy już pokazała mu to, czego szukała, był zupełnie zszokowany.

- Co o tym sądzisz? - spytała. - Siedem tysięcy dolarów w 1943 roku. Nie mówiąc już, ile dziś jest warte.

To nie była zwykła etola. Przez ramię Paisley przewieszzone było prawdziwe futro z szynszyli.

- Nie chcesz chyba tego założyć?

- O tak, chcę! - Wtuliła policzek w gęste, srebrnopopielate futro. - Gdzie jeszcze mogłabym je nosić? Z pewnością nie na Piątej Alei. Fanatycy Ruchu Obrony Praw Zwierząt oblaliby je farbą, a na drugie, podobne, nigdy nie będę mogła sobie pozwolić.

Gdy się odwróciła uświadomił sobie, że blokował przejście.

Pospiesznie wycofał się z garderoby, a Paisley wyszła za nim.

- Poza tym robi się dość chłodno. - Trochę.

Gdy podchodziła do biblioteczki białe prześcieradło ciągnęło się po ziemi. Roześmiał się.

Stanął za nią, przyglądając się półkom z księgozbiorem na temat mody dwudziestego wieku oraz historii włókiennictwa.

- Imponujące!

- Któregoś dnia moja własna książka znajdzie się między nimi.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że piszesz książkę.

- Cóż, ostatnio rzeczywiście miałam przerwę. Od czasu, gdy ciocia Izzy... Zanim się tu nie przeprowadziłam. Później zajmowałam się już tylko nią. - Nie było w jej głosie żalu, nie próbowała się też usprawiedliwiać. Po prostu relacjonowała pewne fakty. Nie wiedział czy ma wyrazić współczucie, czy też tego nie komentować. Powiedział więc to, co wydawało się najbezpieczniejsze.

- Jaką książkę?

- Wpływ kwestii socjologicznych i ruchów feministycznych na dwudziestowieczną sztukę krawiecką. - Zarysowała palcem linię na grzbiecie grubego zakurzonego tomu. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie. - Chodziłam na wykłady, pracowałam w Dziale Strojów w Metropolitan, taki rodzaj samokształcenia, ale nic formalnego, żadnych oficjalnych tytułów przy moim nazwisku. Właśnie dlatego będę w końcu musiała wrócić do szkoły...

Słuchając uważnie podszedł do patefonu.

- Nigdy przedtem tego nie widziałem. - Położył dłoń na korbie i zakręcił nią kilka razy. - Czy dobrze to robię?

- Znakomicie.

Delikatnie przesunął ciężkie ramię nad wirującą płytę i opuścił. Najpierw przez kilka sekund słychać były głośne trzaski, wreszcie rozległy się dźwięki skrzypiec.

Wybuchnął śmiechem słysząc Nelsona Eddy i Jeanette MacDonald śpiewających „Sweet Mystery of Life”. Obok niego Paisley, nucąc melodię, kołysała się w takt muzyki, wyciągając do niego ramiona. Nie potrafił się oprzeć. Objął ją mocno i przetańczyli powoli parę taktów, zanim fałszywe tony zakończyły piosenkę, a płyta przestała się obracać. Chris przyglądał się Paisley; odgarnął jej włosy z twarzy i popatrzył na uparty podbródek, namiętne usta i oczy, w których mężczyzna zatracił się całkowicie. Zrozumiał, że nie może jej utracić.

Dreszcz przeszedł mu po plecach, gdy przyciągał ją bliżej. Nie protestowała. Oparła głowę na jego ramieniu, kołysząc się łagodnie w takt niesłyszalnej melodii, która wciąż jeszcze brzmiała wokół nich. Przez cały czas przesuwał palcami pod prześcieradłem owiniętym wokół jej ciała.

- Hm, jeśli nie przestaniesz, wkrótce stracę swoje jedyne okrycie - zamruczała.

Cofnął rękę.

Ujęła ją ponownie. I zaśmiała się.

Boże, czuł ten gardłowy śmiech w całym ciele. Drugą rękę wsunęła między fałdy szlafroka i pociągnęła palcem w dół, aż czubkiem paznokcia zarysowała...

- Och, jeśli nie przestaniesz...

- Obiecujesz? - Gładziła go. Chwycił prześcieradło i pociągnął je delikatnie. Grzbietem dłoni potarł jej twarde sutki, wzięła głęboki oddech, na wpół śmiejąc się i jęcząc. Uciszył ją pocałunkiem, rozkoszując się smakiem jej ust. Ogień zapłonął w nim, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić odnalazła płomień i położyła na nim rękę. Tym razem to on z trudem chwycił oddech i błagał o litość, gdy przedłużała swoje pieszczoty, przylegając do niego całym ciałem.

Obejmując ją za uda uniósł w górę. Oparł się o ścianę, błogosławiąc w- duchu solidność starych murów, gdyż tym razem w ich ruchach nie było umiaru. Podtrzymał ją, lecz to ona nadawała tempo. Odnalazł w sobie nieznaną siłę. Gdy poczuł jej pulsowanie, usłyszał miękki krzyk, zobaczył błyszczące w jej oczach łzy, wypełniła go nowa energia. Choć jego mięśnie napięte były do bólu, poczekał, aż jej ciało ogarnął ciepły, wilgotny spokój i wtedy osunął się na kolana.

- Paisley, wciąż jeszcze cię pragnę.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Pochyliła się do przodu i odnalazła jego usta. Oparł jedną rękę o podłogę, by nie stracili równowagi, gdy powoli nakrywał ją swoim ciałem. Rozłożyła ramiona i odwróciła głowę. Kołysała łagodnie biodrami, pomagając mu. Napięcie jego sięgnęło szczytu, a ona wchłonęła go i odczuł niebiańską rozkosz, której tak bardzo się domagał. Wciąż jeszcze z trudem łapał oddech, gdy spojrzała na niego, pogłaskała po policzku i uśmiechnęła się.

- Jesteś taki piękny.

- Nie - zamruczał i zaśmiał się na myśl, że w pokoju było dla niego zbyt mało powietrza.

Przeciągnęła się pod nim i ziewnęła, gdy opadł obok na podłogę.

Spojrzała na niego.

- To... takie miłe.

- Miłe? - Ujął kosmyk jej włosów i okręcił wokół palca. Gdy je puścił, pasmo zwinęło się miękko przy twarzy.

- Tak, miłe. - Oparła policzek na jego ramieniu. - Nigdy nie sądziłam, że to takie proste. Myślałam, że to będzie... !

Uśmiech zamarł mu na wargach. Zanim jeszcze zdążyła dokończyć, poczuł ogarniającą go panikę. Pragnął powstrzymać ją, ale ona dokończyła.

- ... tandetne.

Nagle zerwała się, chwyciła prześcieradło i pośpiesznie zaczęła się nim owijać.

- Musisz już iść, Chris.

- To nie było tandetne. - Zawinął wokół siebie poły szlafroka, zrywając się na równe nogi. - Nic, co wydarzyło się między nami nie było tandetne.

Cofnęła się.

- Nie mogę o tym mówić.

- Co, u diabła, dzieje się z tobą?

- Ze mną? Co dzieje się ze mną? Nic! Zupełnie nic! - Wybiegła, przemierzając szybko hol i znikając w drzwiach sypialni. Po chwili pojawiła się w nich ponownie, trzymając w rękach jego zmięty smoking i koszulę.

- Paisley!

Cisnęła w niego ubraniem. Chwycił ją za rękę i zajrzał w oczy.

- Porozmawiaj ze mną! Powiedz mi, dlaczego to robisz!

- Nie tak to miało wyglądać, czy nie rozumiesz? To, co stało się między nami było cudowne i piękne. Chciałam, by potoczyło się to inaczej.

- Uwolniła się z jego uchwytu i odwróciła twarz. - Zmieniłam zdanie. - Gdy wciąż jeszcze był zbyt zaskoczony, by cokolwiek jej odpowiedzieć, pobiegła z powrotem do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Zmieniłaś zdanie? Na jaki temat? - zawołał.

- W sprawie skandalu! - Słyszał hałas gwałtownie otwieranych i zamykanych szuflad. - Nie chcę, żebyś miał cokolwiek wspólnego z moim skandalem! Zupełnie się w tej roli nie sprawdziłeś!

- Ty i ten twój przeklęty skandal! - Zacisnął dłonie w pięści. - Nie rób tego sobie - prosił ją. - Nie rób tego nam! To nie było tak! To nie było tandetne, nie było tanie, nie było...

- Nigdy nie powiedziałam tanie! - Z rozmachem otworzyła drzwi. Ubrana była w sweter i dzinsy. Jej oczy płonęły. Rzuciła mu pod nogi buty. - Lepiej je załóż. Czeka cię długi spacer.

- Spacer?

- Nie masz pieniędzy. Zapomniałeś? Przykro mi, ale nie mogę pozwolić, żeby szofer twojej matki odebrał cię spod mojego mieszkania o wpół do szóstej rano.

- Niech to diabli, Paisley. Tak strasznie wszystko skomplikowałaś, teraz sam już nie wiem, czy ja przychodzę, czy wychodzę!

- Wychodzisz. - Popchnęła go w kierunku drzwi, lekkim kopnięciem posyłając za nim także buty. - Wychodzisz. - Szeroko otworzyła drzwi, ułatwiając mu przejście. Gdy wciąż jeszcze nie reagował na jej słowa, wypchnęła go za drzwi. - Idź już.

Buty trafiły w ścianę tuż nad jego głową.

- O co, u diabła, tu chodzi? - zagrzemiał.

- Ubierzesz się w moim korytarzu - powiedziała i wydawało mu się, że powstrzymuje łkanie. - Zostaw kimono na poręczy.

Zatrzasnęła drzwi.

Po kilku chwilach przepełnionego zdumieniem milczenia włożył mokrą koszulę w spodnie i wyszedł. Zrobił dokładnie tak, jak chciała.

W jakiś sposób udało mu się minąć pięćdziesiąt siedem bloków, wędrując zimnymi, szarymi ulicami Manhattanu. Nie spotkał po drodze nikogo znajomego i o niczym nie myślał. A jednak podczas tej wędrówki uświadomił sobie raz jeszcze, że nie może utracić Paisley.

Prześlizgnął się przez drzwi frontowe posesji matki, drżący i zmarznięty, jak nigdy w życiu. Udało mu się przemknąć po cichu na górę. Zrzucił z siebie ubranie i już miał kłaść się do łóżka, gdy zauważył leżącą na jego poduszce kartkę: „Kit, kochanie, dzwoniła Lydia. Wraca do domu. ”

Rozdział siódmy

- O, wielkie nieba!

Z szaleństwem w oczach, Paisley po raz kolejny okrążyła stół w pokoju jadalnym, załamując ręce i modląc się, by coś zbudziło ją z tego sennego koszmaru.

Zadzwonił telefon. Zamarła bez ruchu czekając, kto też odezwie się w automatycznej sekretarce.

- Paisley, wiem, że tam jesteś.

- Och, Lexie! - jęknęła w kierunku telefonu. - Nie mam teraz czasu dla ciebie i twoich głupstw. - Ruszyła w dalszą drogę dookoła stołu.

- Mama była przerażona, dosłownie przerażona twoim zachowaniem ostatniej nocy. Ja też byłam trochę zirytowana, ale teraz wszystko wygląda już zupełnie inaczej. Podnieś słuchawkę, Paisley. Nie słyszałaś nawet połowy tego, co próbowałam ci powiedzieć.

Jak to się stało, że pozwoliła, by to wszystko się wydarzyło? Christopher Maitland miał pozostać nadal z nieposzlakowaną opinią. Był dobrze wychowany, wykształcony i nie mógł stać się ofiarą czegoś tak niesmacznego i taniego, jak mały romansik. Nie, nie romansik. Mały, nieszkodliwy skandalik. To wszystko.

- ... i w związku z przyjazdem Lydii... - słowa siostry wreszcie dotarły do jej świadomości.

- Zaczekaj chwilę! - Rzuciła się do telefonu. - Co powiedziałaś?

- Wiedziałam, że tam jesteś.

- Oczywiście, że jestem. Co powiedziałaś o... hm, właściwie, co ty takiego mówiłaś? Byłam zajęta w łazience i nic nie słyszałam.

- Byłaś, zajęta ignorowaniem mnie i ukrywaniem się przed mamą i nie winię cię za to, ale usłyszałam dziś rano, że Smythe'owie oczekują przyjazdu Lydii...

- Wydawało mi się, że to właśnie powiedziałaś.

- Znasz narzeczoną Christophera Maitlanda, Lydię? - Nigdy jeszcze nie słyszała w głosie Lexie równie słodkich tonów.

- Wraca do domu! Kiedy? Jak?

- To śmieszne, że pytasz. Anna powiedziała, że Chris ma wyjść po nią o dziesiątej na lotnisko. Znam dokładnie szczegóły, ale pewnie nie jesteś ich ciekawa?

- Dlaczego mi to wszystko mówisz? - jęknęła Paisley.

- Ponieważ Anna uważa, że miłosny związek między jej ukochanym Kitem i moją słodką siostrą jest niezwykle romantyczny.

- Tak naprawdę, to wszystko mnie nie dotyczy - wyrzuciła z siebie Paisley jednym tchem. Dlaczego więc zdrętwiały jej palce od ściskania słuchawki? I dlaczego nagle zrobiło jej się tak niedobrze? Opadła na krzesło. - Lexie? - powiedziała miękko. - Co jeszcze mówiła Anna? Czy uważa, że... że Lydia dowie się o moim małym... hmm... - nie potrafiła znaleźć właściwego słowa.

- O twoim przedstawieniu zeszłej nocy? Paisley kiwnęła głową.

- Można to tak nazwać - przyznała, rumieniąc się na samo wspomnienie tamtego wieczoru.

- Właśnie dlatego Chris wychodzi jej na spotkanie. By przedstawić sprawy w prawdziwym świetle, zanim jeszcze usłyszy o wszystkim od niewłaściwych osób. Na przykład od swoich rodziców. - Załamanie jej głosu było krótkie, lecz znaczące. - Tak, czy siak, Anna uważa, że jest to

niezwykle romantyczne. Ona myśli, że ty i Chris przeżywacie szalony romans...

Paisley przygryzła mocno wargi.

- ... i błagała mnie, bym cię ostrzegła, żebyś zdążyła jeszcze coś zrobić.

- Zrobić co? - spytała Paisley z rozpaczą w głosie. - Cóż, na Boga, ona sądzi, że powinnam zrobić. Rzucić się pod koła samolotu?

- Lub też wepchnąć tam Lydię.

- Rozumiem, że nie przepada za Lydią.

- Uważa, że Lydia jest nudna. Niewiarygodnie nudna. I uważa, że ty jesteś cudowna. Próbowałam przekonać ją, że nudne może być bardzo sympatyczne, ale ona obstaje przy swoim.

- Och, Lexie... - Po raz pierwszy Paisley usłyszała cień, a raczej nie cień, lecz bardzo wyraźną niechęć w głosie Lexie. - Zrobiłam ci wczoraj coś okropnego, prawda?

I znów cisza. Kiedy Lexie odezwała się ponownie, mówiła tak cicho, że Paisley z trudem rozróżniała słowa.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiesz, co to znaczy być twoją siostrą, Paisley. Każdy zawsze zauważa ciebie. Ja zlewam się z kolorem ścian. A zeszłej nocy była moja chwila. Moja, aż do momentu, gdy...

- Gdy ci ją skradłam? Lexie, tak mi przykro. - Paisley przyłożyła dłoń do czoła i dwie samotne łzy spłynęły jej po policzku. Już wcześniej czuła się winna. Teraz to się jeszcze pogłębiło.

- Paisley, wiem, że coś się dzieje. Nie wiem dokładnie co, bo nigdy nie rozmawiasz ze mną. Ale wiem, że nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego, po to tylko, by zdobyć mężczyznę.

Paisley odłożyła słuchawkę i spróbowała przekonać samą siebie, że przynajmniej w tej ostatniej sprawie Lexie miała rację. Usidlenie Christophera Maitlanda było ostatnim z punktów w jej planie. Nie chciała nikogo zranić. Dlaczego wszystko wymknęło się spod kontroli?

Ukryła twarz w dłoniach. Nadal tak bardzo go pragnęła.

Chris podniósł kołnierz płaszcza, chcąc w ten sposób ukryć jednodniowy zarost. Stojąc w tłumie czekających na przyłot samolotu British Airways, spoglądał na drzwi, którymi wychodzić mieli pasażerowie.

Kładąc się do łóżka dziś rano był pewien, że nie uda mu się zasnąć, a tymczasem przespał cały dzień i początek wieczoru. Potem już tylko prysznic, świeże ubranie i szaleńcza jazda na lotnisko. Ledwie zdążył złapać oddech, a już zaczął intensywnie myśleć, jak opowiedzieć o wszystkim Lydii, zanim go ktoś ubiegnie.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, Lyd. - Nie, to nie było do końca uczciwe. Wiedział, co się z nim stało. Czternaście godzin snu nie wymazało z jego pamięci cudownych wspomnień o zeszłej nocy.

Umiał znieść wiele rzeczy. Ale nie myśli o zranieniu Lydii. Gdy rozglądał się wokół, na nowo odezwało się w nim poczucie winy. Lecz nie tylko to go dręczyło. To byłoby proste. Paisley sprawiła, że musiał poważnie zastanowić się nad sobą.

Nagle cały świat zamarł na chwilę; w drzwiach ukazała się Lydia. Zawołał ją po imieniu. Nie usłyszała go. Ruszył do przodu, przepychając się między oczekującymi.

- Lydio! Tutaj!

Wreszcie się odwróciła i uniosła powoli rękę, uśmiechając się do niego. Patrzył na nią. Nigdy jeszcze nie wydała mu się tak krucha. Tak łatwo mógł ją zranić.

Poczuł się prawdziwie zrozpaczony.

Kocha ją.

Było to dla Paisley jak cios w serce. Przytrzymała się stojącej obok kolumny, nie chcąc dać się porwać nurtowi śpieszących ludzi.

Już od chwili, gdy zobaczyła w drzwiach komory celnej wysoką, smukłą blondynkę w błękicie, rozglądającą się wokół, wiedziała, że to była Lydia. A gdy spojrzała na Chrisa w momencie, kiedy i on zauważył Lydię, była pewna. On naprawdę ją kochał.

Paisley obserwowała, jak Chris przeciska się przez tłum, łokciami torując sobie przejście.

Nie chcę na to patrzeć. Nie powinnam była przychodzić - pomyślała. Ta myśl paliła ją jak ogień. Potrzebowała powietrza. Ale nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Nie była w stanie oderwać wzroku od kobiety w błękicie, która raz jeszcze uniosła rękę i coś krzyknęła, przyłączając się do grupy rozradowanych osób. Chris wciąż przepychał się do przodu.

Prosto w ramiona tamtej kobiety.

Kobiety w niekształtnych spodniach i sfatygowanej reszcie stroju. Kobiety, której zniszczone słońcem włosy zdecydowanie domagały się fryzjera, a opalona skóra łuszczyła się na nosie, zabawnie kontrastując z chłodem grudniowej, nowojorskiej nocy. Łzy płynęły po jej policzkach, gdy przytulała się mocno do Chrisa, kojąc niedawną tęsknotę.

Lydia? Ta niezgrabna tyka to była Lydia?

Chris odsunął ją na odległość ramienia i powiedział coś, co wywołało wybuch śmiechu. Objął ją i skierowali się w stronę wyjścia.

Paisley przyłożyła czoło do zimnej kolumny, starając się powstrzymać łzy.

Po pięciu minutach, które równie dobrze mogły być całą wiecznością, Paisley wyprostowała się i też ruszyła w stronę wyjścia. Oczywiście, że ją kocha - powtarzała sobie. - Wiedziałaś przecież o tym, ty fajtłapo.

Czemu tak się tym przejmowała? Nic się przecież nie stało.

Za drzwiami uderzyła ją fala mroźnego powietrza. Lydia była inna. Z pewnością jej życie nie kryło żadnych poplątanych spraw, żadnych krętactw. Ona też musi się z tego wyzwolić. Teraz martwiła się jedynie o to, jak oczyścić z zarzutów innych. A kiedy się już upewni, że nikomu nie wyrządziła żadnej krzywdy, będzie wolna. Wolna. Jakże pusto brzmiało to słowo. Tak pusto, że w zamyśleniu nie zauważyła dziewczyny w błękitnych spodniach, która wpadła wprost na nią.

- Paisley! - Głos Chrisa tuż nad uchem przywrócił ją natychmiast do równowagi.

Nie miała już czasu na to, by gdzieś się ukryć, zniknąć, czy umrzeć. Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Oo! Chris. Co za niespodziewane spotkanie! - Wyciągnęła rękę i zauważyła, że nawet w połowie nie miał tyle opanowania, co ona. Palce mu drżały, gdy ścisnął jej dłoń. Ale szybko ochłonął, odwrócił się w stronę Lydii i przedstawił ją z ledwie tylko dosłyszalnym wahaniem w głosie.

- Lyd, to Paisley Vandermeir. Nie sądzę, żebyście się znały?

Paisley zmusiła się do uśmiechu.

- Rzeczywiście, nie. Ale wiele o tobie słyszałam.

- Ja też i zawsze zazdrościłam wolnym duszom - powiedziała Lydia z westchnieniem w głosie.

Zanim sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna, Paisley skinęła im głową i powiedziała:

- Bardzo się cieszę z tego spotkania, ale naprawdę muszę już lecieć. Zakupy, zakupy - jak to przed świętami.

Lydia ze zdumieniem pokiwała głową.

- Dzisiaj? Czy nie jest już trochę za późno?

- Och! - Paisley przeklinała w duchu swoją własną głupotę. - Nie, jeśli się wie, dokąd pójść. Znam takie miejsca, gdzie najmilej jest robić zakupy właśnie po północy. Z dala od tłumów. A więc, najlepsze życzenia i wesółych świąt. Aha, Chris - nie potrafiła sobie tego odmówić - pozdrów ode mnie mamę. - Zrobiła krok w kierunku końca długiej kolejki na postoju taksówek, lecz nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł. I zanim zdążyła się zastanowić, krzyknęła w stronę Chrisa i Lydii. - Chyba że...

Przerażony, Chris spojrzał na nią. W jego wzroku czaiły się gromy, ale nie zważała na to, wiedząc, że będzie to najlepsza okazja na wyjaśnienie wszystkiego - będę mogła się z wami zabrać - dokończyła.

- Czy postradałaś rozum? - spytał Chris zupełnie nieelegancko.

- Chris! Kochanie! - Lydia położyła rękę na jego ramieniu.

- Jesteś zmęczona, miałaś okropny lot, jest już późno i...

- Kolejka jest taka długa, Chris. Czekaliśmy dwadzieścia minut na taksówkę. - Uśmiechnęła się do Paisley. -Matka i siostra Chrisa potrzebowały dzisiaj samochodu, gdyby nie to, jechalibyśmy teraz limuzyną. Ale sprawisz mi przyjemność, jeśli pojedziesz z nami. Tak miło będzie znowu porozmawiać z kobietą.

- Tak, wiem. Wolne dusze i tak dalej. - Paisley ścisnęła mocno torbę, posyłając Chrisowi nerwowy uśmiech. -Dzięki.

Otwierając drzwi taksówki Chris wyrwał je niemal z zawiasów, po czym pomógł Lydii wsiąść do środka. Zanim Paisley zdążyła zrobić krok, Chris odwrócił się do niej, mówiąc:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym usiąść koło mojej na... mojej...

- Tak? - Paisley uśmiechała się słodko.

- Koło Lydii.

- Ależ oczywiście - powiedziała i weszła za nimi do taksówki.

Chris usiadł prawie tyłem do Paisley.

- Dlaczego masz taki mały bagaż? - zwrócił się do Lydii.

- Musiałam opuścić Kenię niespodziewanie.

Paisley wyciągnęła szyję ponad ramieniem Chrisa, który wyraźnie chciał wyłączyć ją z rozmowy.

W świetle mijanych po drodze ulicznych świateł twarz Lydii rzeczywiście wydawała się dziwnie blada i zmęczona.

- To naprawdę bardzo dobrze się dla was ułożyło - za-szczebiotała Paisley. - A jeśli chodzi o Kenię...

- Tak - przerwał jej Chris. - A jeśli chodzi o Kenię, dlaczego właściwie wróciłaś do domu tak wcześnie?

- Och, Chris. Tyle się wydarzyło... nasze badania są skończone. Zrujnowane. Moja praca... - Wzięła głęboki oddech i uniosła ramiona.

Chris przykrył ręką dłoń Lydii i Paisley poczuła skurcz w okolicy serca. Chris, jakby zdając sobie sprawę z niezręczności tego gestu, cofnął rękę.

- Nasz obóz zaatakowali kłusownicy.

- Dobry Boże, Lyd! Nie byłaś przypadkiem ranna?

- Miałam szczęście. Zniszczyli za to mój cały naukowy dorobek. Inny członek naszej wyprawy miał wyjątkowego pecha. Wciąż jeszcze przebywa w szpitalu w Nairobi.

- Kłusownicy? - spytała Paisley. - Sądziłam, że paleontolodzy zajmują się jedynie wykopaliskami. Dlaczego więc napadli na was?

- Właśnie dlatego jest to takie przygnębiające. Nie byliśmy dla nich przecież zagrożeniem, ale wołałabym teraz o tym nie mówić.

Paisley było jej szczerze żal. Sprawy nie toczyły się tak, jak to sobie zaplanowała. Może lepiej byłoby na jakiś czas pozostawić wszystko własnemu biegowi i wrócić spokojnie do domu. Ale przecież Lydia nie znała jeszcze plotek.

Paisley pochyliła się do przodu, chcąc lepiej widzieć twarz Lydii.

- Tracisz fantastyczny sezon. Tyle przyjęć, tyle zamieszania. Nie uwierzyłabyś nawet, jak śmieszne rzeczy ludzie opowiadają... Choćby zeszłej nocy, na balu mojej siostry... - Przerwała na moment, z trudem łapiąc oddech, bo Chris dał jej mocnego kuksańca w bok.

- Miałam nadzieję, że ominie mnie cały ten sezon - powiedziała Lydia.

- Z ledwością zniosłam swój własny. Teraz będę musiała pójść na niektóre z tych strasznych przyjęć ze względu na Annę. - Poklepała delikatnie dłoń Chrisa. - Bez obawy, Chris. Wiesz, co sędzę o wszystkich towarzyskich konwenansach.

- Rozumiem. - Jak on to zrobił, Paisley nie wiedziała, ale w jakiś sposób udało mu się jeszcze bardziej odwrócić do niej plecami. - Wierz mi,

nie będę cię namawiał na żadne wyjścia, jeżeli nie będziesz chciała. Mama i Anna zrozumieją.

- Nie jestem tego taka pewna... - mruknęła Paisley. I znów Lydia zaśmiała się.

- Czy to nie zadziwiające, jak ślepi potrafią być mężczyźni w stosunku do kobiet w swojej własnej rodzinie?

- Rzeczywiście! - Paisley omal nie spadła z siedzenia, wierząc się, by móc ją lepiej widzieć. - Czy wiesz, że tak strasznie byłam przerażona tym, co powiedzą smoki, że na czas swojego własnego sezonu wyjechałam z Nowego Jorku? Nie zostałam oficjalnie wprowadzona ani nic takiego. Wydałam tylko obiad i wymknęłam się do Paryża.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodziło. Jesteś wolnym duchem. - Lydia uniosła ręce w uroczym geście mającym pokazać, jak marne zdanie ma o samej sobie. - Mnie zabrakło odwagi. Jak grzeczna dziewczynka przebrnęłam przez to wszystko, a potem wyjechałam do szkoły oglądając się za siebie. Nigdy bym tego nie dokonała, gdyby Chris nie stał przy moim boku.

- Lyd, przedstawiasz to w zbyt czarnych kolorach. Cudownie się wtedy bawiliśmy.

- Wiem, że ty tak, kochanie. - Lydia zwróciła oczy na Paisley. - Co takiego mówiłaś o przyjęciu swojej siostry?

- Cóż... - Paisley odetchnęła głęboko i posłała Chrisowi ostrzegawcze spojrzenie. „Zostaw to mnie, Chris. Mam w tym więcej wprawy niż ty. ” Spojrzała na Lydię. -Cóż, mówiłam, że wypłam odrobinę za dużo szampana. Wiesz, jak to jest. Na tych imprezach debiutantek nikt się nie przejmuje, ile wypiałś, bylebyś tylko grzecznie stawiała się na kolacji. -

Znów odetchnęła głęboko. - Jak już wspomniałam, nigdy nie złożyłam swojego inauguracyjnego ukłonu. I nie wiem, co wstąpiło we mnie, ale...

- Mój Boże, człowieku, uważaj! - krzyknął Chris gwałtownie do kierowcy; ten, przerażony, zahamował z piskiem. Paisley chciała przytrzymać się czegoś, lecz nie zdążyła i znalazła się na podłodze. Taksówkarz odwrócił się nie szczędząc Chrisowi mocnych słów. Kiedy już ruszył, Lydia zwróciła się do Chrisa:

- Co się z tobą dzieje? O mały włos, a mielibyśmy przez ciebie wypadek. I pomóż Paisley się podnieść!

- Dzięki, poradzę sobie sama!- Spódnica zawinęła się jej niemal pod samą szyję, a dziewczyna wykonywała szaleńcze ruchy, by tylko wyplątać nogi spomiędzy nóg Chrisa. Opadła z powrotem na siedzenie, z trudem łapiąc oddech.

- Masz taką cudowną sukienkę, dopiero teraz zauważyłam. - Tym razem Lydia przysunęła się do Chrisa, by móc lepiej widzieć Paisley. - Bardzo niezwykła. Nigdy nie odważyłabym się założyć czegoś takiego.

- To urok starych strojów-odparła Paisley. -Zawsze gdy potrzebuję dodać sobie trochę odwagi, zakładam coś z mojej kolekcji i voila! Efekt jest natychmiastowy. Lydia przyjrzała się jej uważnie.

- Do czego potrzebna ci była odwaga dziś wieczorem, Paisley?

Paisley przeniosła wzrok z Lydii na Chrisa i z powrotem.

- Musiałam pomóc przyjacielowi. Komuś, na kim mi bardzo zależy. To sprawa dość osobista.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze poszło - cicho odpowiedziała Lydia.

Nagle Paisley nie wytrzymała napięcia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Opadła na oparcie siedzenia.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Może... - Lydia spojrzała na Paisley, potem na Chrisa i znów na Paisley. - Może pomogłabyś mi wyszukać suknię ślubną?

- Co takiego?! - Chris wyprostował się gwałtownie. Paisley nie musiała na razie odpowiadać, gdyż taksówka zahamowała przed jej domem.

- Jesteśmy na miejscu - ogłosił Chris. W przytłumionym świetle ulicznych lamp wydawał się nieco zmęczony. - Jesteś w domu, Paisley.

Otworzyła drzwi i zaproponowała, że zapłaci. Oczywiście Chris się nie zgodził. Gdy Paisley wysiadała, Lydia odezwała się do niej z żalem w głosie:

- Szkoda, że nie spotkałyśmy się jakieś piętnaście lat temu. Mogłybyśmy zostać najlepszymi przyjaciółkami.

- Wolne dusze, jak je nazywasz, nie cieszą się dobrą opinią, więc lepiej, że tak się nie stało. - Zmusiła się do uśmiechu. - Twoja reputacja byłaby mocno nadszarpnięta tą przyjaźnią.

Paisley stała już na chodniku.

- Nie wierz w żadne plotki, Lyd. Pamiętaj, że rzeczy nie mają się tak źle. - Nie, uparty głos poprawił ją w duchu, czasami dużo gorzej.

- Nie martw się, Pais - Lydia ziewnęła i wtuliła się w Chrisa.

To słodkie, wesołe „Pais” ścisnęło Paisley za gardło.

Zdrobnienie typowe dla debiutującej panienki. Lecz z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu nie czuła zwykłej irytacji. Raczej smutek i nieokreślony żal.

- Nie martw się - powtórzyła Lyd, gdy Chris zamykał już drzwi. -
Nigdy nie słucham smoków.

Gdy taksówka ruszyła, Paisley odwróciła wzrok. Nie chciała widzieć, czy Lidia położyła głowę we wgłębieniu jego ramienia, czy też dwie, stworzone dla siebie głowy złączyły się w pocałunku. Nie mogłaby na to patrzeć, nie czując pogardy dla Lydii, a nie chciała gardzić kobietą, która w zupełnie innych okolicznościach byłaby pewnie jej przyjaciółką.

Chris odprowadził Lydię do apartamentu jej rodziców i wsiadł z powrotem do taksówki. Uświadomił sobie, że nawet jej nie pocałował. Ani na powitanie, ani teraz.

- Dokąd, proszę pana? - spytał taksówkarz.

- Chicago.

- Hej, leci pan, czy jedzie autobusem?

Chris wyjął z kieszeni portfel i podał kierowcy pięćdziesięciodolarowy banknot.

- Nie sędzę, żeby to wystarczyło. Kierowca zaśmiał się:

- Chyba pan żartuje.

Wsunął portfel do kieszeni i stłumił w sobie pragnienie, by podać taksówkarzowi pewien adres, stłumił pragnienie zobaczenia pewnej kobiety.

- Nie wiem, dokąd chcę jechać - powiedział. - Po prostu przed siebie.

Wiedział natomiast, gdzie nie chciał pojechać.

Nie chciał jechać do domu swojej matki. I tak naprawdę, to nie chciał jeszcze wracać do Chicago. Nie był dzisiaj w wystarczająco dobrej formie do podejmowania niezwykle istotnych decyzji dotyczących kursu zboża czy metali szlachetnych. W głowie czuł zamęt. Nie chciał, Boże broń, wrócić na górę, do Lydii. Paisley dobrze się spisała. Lydię - tę rozsądną Lydię -

Paisley owinęła wokół małego palca. Jeśli ktoś spróbowałby powiedzieć tylko słowo przeciw jej buntowniczej nowej przyjaciółce, Lydia zaśmiałaaby się mu prosto w nos.

Dlaczego serce nie waliło mu jak szalone na myśl, że Lydia wróciła do domu?

Biło jak szalone, bo taksówka wjechała właśnie, na Osiemdziesiątą Ulicę i wystarczyłoby jedno słowo, żeby samochód zatrzymał się przed pewnymi drzwiami, wystarczyłby jeden ruch ręki, by nacisnąć dzwonek u drzwi. Tak niewiele dzieliło go od Paisley i jej czerwonej, jedwabnej szaty, jej gardłowego śmiechu i irlandzkiej herbaty, i francuskiego koniaku, i szyi, którą tak pragnąłby obsypać pocałunkami, i...

Przecięli Osiemdziesiątą. I jechali dalej. Próbował przekonać samego siebie, że czuł ulgę, i że powodem, dla którego nie zatrzymał się przed tym szczególnym domem była złość.

Zasługiwała na tę złość, czyż nie? Dlaczego on musiał jeździć w kółko przez pół nocy, podczas gdy ona siedziała sobie wygodnie w ciepłym mieszkanku, rozkoszując się swoim triumfem?

- Niech pan zawraca.

Kiedy już znaleźli się przed domem, nie zadał sobie nawet trudu, by nacisnąć dzwonek. Zaczął walić pięściami w drzwi, aż huk wypełnił cały budynek.

Usłyszał wreszcie skrzyp okiennic nad głową, a potem zobaczył Paisley.

- Co robisz? - zawołała. - Jest druga nad ranem. Pobudzisz sąsiadów!

- Może sąsiadom należy się sen - warknął - ale tobie nie. Wpuść mnie.

Paisley nacisnęła przycisk domofonu. Chris przemierzał po trzy stopnie i wpadł prosto do jej apartamentu.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej. - Minął ją i wszedł do środka.

- Ja... ja sądziłam, że będziesz z Lydią.

- Och, to dobre! Kobieta przeżyła straszne chwile. Siedemnaście z ostatnich dwudziestu czterech godzin spędziła w powietrzu z jedną dwugodzinną przerwą w Londynie. Była ledwie przytomna ze zmęczenia. Należy jej się trochę snu.

Paisley przyglądała się mu z szeroko otwartymi oczami.

- Ja też wiele przeszłam.

- Wiele?! Co, u diabła, robiłaś na lotnisku?

- Mój... mój przyjaciel...

- Daruj sobie te bzdury - uciął krótko. - Lydia mogła w to uwierzyć, ale nie ja.

- A więc mi nie wierz - powiedziała, wzruszając ramionami. Miała na sobie tylko jedwabną górę od piżamy, o kilka numerów za dużą. - Choć po dzisiejszym wieczorze - ciągnęła dalej - powinieneś mi raczej dziękować. Staralam się zażegnać kłopoty.

- Znakomicie ci się udało. Przekonałaś Lydię, że jesteś niezwykle czarującą kobietą i teraz zamierza prawdopodobnie zabiegać o twoją przyjaźń. - Zmierzył palcami włosy.

- Moją przyjaźń? - Stała przed nim zeszywniała, nieledwie przerażona. - Jest słodka, prawda?

- Właśnie staram ci się to uświadomić — ryknął. — I nie chcę, by musiała cierpieć więcej, niż jest to konieczne, rozumiesz? W imię przyzwoitości...

Zbladła.

- Przyzwoitości? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

- Niech to diabli, Paisley. - Ścisnął jej ramię. - Nie o tym mówię, wiesz dobrze.

- Więc powiedz mi - szepnęła. - Powiedz mi, o czym mówisz?

- Chcę, żebyś trzymała się z daleka od Lydii, a zwłaszcza, żebyś nie wałęsała się z nią po mieście w poszukiwaniu jakiejś niezwyklej sukni ślubnej, ponieważ... ponieważ... - Uwolnił jej ramię. - Nie rozumiesz? Miałem zamiar dzisiaj z nią porozmawiać. I będzie to wystarczająco trudne. Chcę to zrobić zanim wyruszy na poszukiwanie stroju panny młodej. Ponieważ ja nie mam zamiaru jej poślubić.

Rozdział ósmy

On nie ma zamiaru jej poślubić.

Powinna być tym zaszokowana, a tu ogarnęła ją fala radości. Okręciła się na pięcie i uciekła do kuchni. Stojąca koło piecyka znajoma fotografia Izzy i Quina przyciągała jej wzrok. Zignorowała ją, chwyciła czajnik, naląła wody i zapaliła palnik.

- Nie - powiedział zza jej pleców. - Nie parz irlandzkiej herbaty.

Oczywiście, że nie irlandzka herbata. Nic, co przypominałoby te cudowne chwile, które przeżyli.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała.

- Dlaczego ja? - zapytał. Obrócił się, uderzając otwartą dłonią o ścianę.

- Dlaczego wybrałaś mnie?!

- Ponieważ jesteś przyzwoity - próbowała mu wyjaśnić. - I dobry, i...
i...

- I wygodny? - dokończył za nią.

- Nie! - Oparła ręce na biodrach. - Czy nic nie rozumiesz? Wybrałam cię, bo byłeś bezpieczny, uczciwy i lojalny. Chris, czekałeś jedenaście lat, by ją poślubić! - W uniesieniu zaczęła mówić głośniejszym głosem. - Chciałam cię ścigać, lecz nie ukraść! Nigdy nie pragnęłam...

- Czego? - zapytał. - Tego?! - Zanim zdążyła się poruszyć, wsunął palce w jej włosy i odchylił głowę do tyłu, lecz nie czule, nie delikatnie, ale z pasją i złością.

Och, wielkie nieba, dlaczego ten mężczyzna musiał przyjść i pocałować ją właśnie wtedy, gdy próbowała już zrezygnować. I jak, na

Boga, ma tego dokonać, gdy serce wali niczym oszalałe, a krew w żyłach pulsuje namiętnie.

- To ogień, Paisley. Właśnie z tym igrałaś w stworzonej przez siebie grze. A teraz jesteś zła, ponieważ nie trzymam się reguł, twoich reguł. Więc posłuchaj mnie, Paisley. Posłuchaj i zrozum. Nigdy nie zgodziłem się na tę grę, ani na te reguły i nie... nie ukradłaś mnie. Czy jest to jasne? Nie jestem nagrodą, o którą można się ubiegać, ukraść czy wygrać.

Podniosła głowę i dalej odgrywała swoją rolę.

- W ten sposób zapewne czujesz się o wiele lepiej, Chris, kiedy możesz całą winą obarczyć mnie.

- Nie winię ciebie za wszystko! - krzyknął. - Nie widzisz, że zadręczam się tym na śmierć?!

On zadręczał się na śmierć - ale co z nią? Co ze zrujnowanymi głupimi marzeniami? Chciała go zranić, sprawić, by dzielił z nią jej wstyd. Uniosła rękę i rozpiąwszy górny guzik oswobodziła jedno ramię z pizamy.

- Czy za to obwiniasz mnie Chris? Czy za to, że cię ścigałam? - spytała, gdy rozpięła już ostatni guzik. - Czy dlatego, że nie uciekałeś?

Jego oczy zapłonęły gniewem; policzki nabrały koloru purpury. Trafiła w sam cel. Brawo - pomyślała.

- Co chcesz udowodnić? - Zacisnął pięści. - Wystarczy, byś pokazała mi kawałek ciała, a już będę cię pragnął. Ty mała idiotko. Wystarczy tylko, żebyś zaśmiała się, a też cię pragnę. Przejdź się po pokoju i znowu cię pragnę. Po prostu bądź, oddychaj, a będę cię pragnął! - Przyciągnął ją do siebie. - Ale czego to dowodzi? - Patrzył na nią, jego usta rozchyliły się i dzielił ich jedynie oddech.

Powietrze wokół nich przesycone było pożądaniem i wiedziała, że należał do niej.

Pragnęła go. I zawsze tak już będzie.

Potrzebowała nadludzkiej niemal woli, by odwrócić twarz. Westchnęła głęboko.

- Idź do domu, Chris. Wracaj do Lydii.

Cofnął się zszokowany.

- Nie bądź głupi i nie marnuj swoich życiowych planów. Uwierz mi, jeśli cię kocha... - lekko zacięła się wymawiając to słowo - nie przejmie się plotkami.

- To nie są plotki, Paisley.

- Myślisz, że musisz oczyścić swoje sumienie, wyznać jej wszystko? Jakże elegancko! - Potrząsnęła głową. Coś w jego spojrzeniu przejęło ją dreszczem. - Biedna, niewinna Lydia. Ale ci wybaczy. Nie martw się. Nie spaliłeś za sobą żadnych mostów.

- Zrobiłabyś to, Paisley? Przebaczyłabyś mi, gdybyś była na jej miejscu?

- Na miejscu Lydii? Oczywiście, że przebaczyłabym ci - skłamała. - Ale ja nie jestem taka jak ona, taka jak inne kobiety.

- Wiem o tym, Paisley. - Wolno potrząsnął głową. - To one są twoimi smokami. One wszystkie. Nawet Lydia. Nawet ja.

- Żyłam między smokami wystarczająco długo, Chris. Nie muszę tego więcej robić.

- Co sprawia, że stają się smokami? Czy wiesz?

- Oczywiście, że wiem. Używają nienaganych manier, by sączyć najbardziej trujące jady – powiedziała bezdźwięcznie. - Smoki, to ludzie, którzy nie ufają samym sobie, więc im też nie można zaufać.

- Co tak bardzo starasz się udowodnić? - W jego głosie słychać było gniew i zmęczenie, choć nie uczynił najmniejszego ruchu. - Czego chcesz?

Jego. W całej swojej głupocie chciała właśnie jego. Ale tego nigdy mu nie powie. Przynajmniej dotąd, dokąd była w niej jeszcze odrobina dumy. Uniosła podbródek, by powstrzymać jego drżenie. Ich spojrzenia spotkały się.

I wtedy w jej myśli uformowała się odpowiedź. Opuściła uniesione w napięciu ramiona i powiedziała miękko:

- Chcę znaleźć swoje miejsce. To wszystko. Odnaleźć życie, które byłoby moim, a nie cudzym.

- Tego pragniemy wszyscy. Tego wszyscy szukamy.

- Lecz niektórzy muszą szukać dłużej niż inni, prawda? Niektórym z nas trudniej jest się odnaleźć - zaśmiała się gorzko. Z kuchni doszedł ich dziwny zapach. Koniecznie musi zająć się tym czajnikiem.

- Co cię przeraża najbardziej? - spytał cicho. - Że ktoś zmusi cię do normalności? Albo, że jeśli spróbujesz być normalna poniesiesz porażkę?

Cofnęła się, zwiększając dzielący ich dystans.

- To proste Chris. W jakiś sposób zatraciłabym siebie, gdybym zaczęła wyglądać, zachowywać się i rozmawiać jak jedna z tych... nudnych... smoczyc.

Jak Moonchild. Jak Saffron. Spojrzała na swoje szkarłatne paznokcie i pomyślała o Nirwanie, o zielonej trawie, o liściach, o wolności. Już od

dawna nie było w jej życiu żadnej zieleni... Spojrzała na Chrisa i nic nie umiała wyczytać z jego twarzy.

Przypomniała sobie o kuchni. Elektryczny palnik błyszczał mocno czerwienią. Przekręciła kurek, podniosła pusty czajnik i wtedy usłyszała za sobą cichy dźwięk.

Gdy obróciła się, zobaczyła go. Stał w drzwiach, w ciemności widziała jedynie zarys jego sylwetki.

- Nie mogę do niej wrócić.

- Nie możesz? - Ścisnęła mocno blat stołu.

Odetchnął głęboko.

- Nie chcę wrócić.

- A czego chcesz?

- Wiesz, czego chcę. Chcę ciebie.

Jej ręka bezwiednie niemal powędrowała do stojącej obok kuchenki wazy, gdzie na cygarniczkach cioci Izzy już od dawna zbierał się kurz. Jak doskonale cygarniczka ułożyła się w jej dłoni, gdy uniosła ją do ust. Jak naturalnym było dumnie unieść brodę i spoglądając wzrokiem Kleopatry na widoczną w progu sylwetkę, wzruszyć ramionami.

- Po co? - spytała. - Po co mnie chcesz? Powiedz to. Powiedz, jakie są twoje zasady?

Zaśmiał się niskim, gorzkim śmiechem.

- Nie pytaj mnie o zasady. Wygląda na to, że wszystkie zламаłem.

- A ja myślałam, że można na tobie polegać.

- I można było, dopóki nie poznałem ciebie. - Zrobił krok w jej kierunku i wewnątrz przygotowała się na pojedynek. Ale nie miała żadnej obrony przed jego miękkim, czułym pocałunkiem. Żadnej obrony

przed ciepłem jego oddechu. Stała przed nim zupełnie bezbronna i jedynie łzy płynęły po jej policzkach.

Pociągnął ją do siebie. W tonie jego głosu, w miękkim dotknięciu wyczuwała troskę.

- Nie płacz.

- Wiem. Nie powinnam, ale nie mam już siły walczyć i nie mam nikogo i niczego, czego mogłabym się trzymać.

- A więc trzymaj się mnie.

W ciemności odpięła mahoniową klamrę - płaszcz zsunął mu się z ramion i upadł na podłogę. Wtuliła się w niego spragniona. Przesunął ręce ku górze, muskając jej szyję i ogarniając dłońmi jej twarz. Ich usta spotkały się. Posadził ją na blacie stołu. Cienki jedwab piżamy nie był żadną osłoną ani przed chłodem zimnych kafelków, ani przed rozpalonym dotykiem jego dłoni, pieszczących jej biodra, plecy, piersi.

- Trzymaj się mnie - szepnął raz jeszcze. W napięciu wszystkich mięśni wyczuwała jego podniecenie. Westchnęła, rozchyliła nogi, gdy twardym ciałem napierał na nią coraz bardziej. Odpięła jego pasek i spodnie, odnalazła go i ogarnęła; jęknął i poruszył się w jej dłoni. Wsunął palec pod elastyczną taśmę i odnalazł wilgotną miękkość jej ciała. Nie była w stanie krzyknąć, nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu, gdy dotykał jej, badał, aż wreszcie powoli wsunął się do środka i cofnął.

Jęk wyrwał się z jego ust, westchnęła, gdy wszedł w nią ponownie, każdy ruch wzniecał na nowo pożar... Pod jedwabną piżamą odszukał piersi i pieścił delikatnie. Owinęła nogi wokół jego bioder i przyciągnęła go bliżej. Ich ruchy nie były już ani wyważone, ani łagodne. Powietrze wyrywało się z jej piersi w chrapliwych płytkich oddechach, ogarniała ją jego siła i gorąco.

Mięśnie jego ramion były twarde niczym skała, gdy napinał je i napierał na nią, a ona z każdym drgnięciem bioder przybliżała się coraz bardziej i bardziej. Aż do bólu pragnęła, potrzebowała, oczekiwała spełnienia i ulgi. I dopiero, gdy wydawało się już, że osiągnęli ostateczną granicę, rozpoczęły się kolejne eksplozje, które rosły w nich z każdym następnym przesywającym pchnięciem - aż krzyk wyrwał się z jej piersi... jego ramiona zadrżały pod jej dłońmi... odrzucił głowę do tyłu i jęknął - Trzymaj mnie, trzymaj... -I przycisnęła go do swego wciąż drżącego jeszcze ciała, aż nie było już nic więcej do dania, nic więcej do wzięcia.

Przez długi czas w ciszy słyhać było tylko ich oddechy. Ustami bładził po jej policzku, tuląc ją do siebie. Nie chciała mówić, nie chciała robić nic, co mogłoby zakłócić kruchy spokój.

Objął dłońmi jej twarz i przechylił do swoich ust.

- Nie wolno nam tego zmarnować - wyszeptał. Żadne słowa nie wywarły na niej nigdy większego wrażenia, zapomniała o swoich rozważaniach, o rozsądku. Bez reszty przepeliła ją miłość, pragnienie, pożądanie. Wiedziała, że już jest jej własnością, że go kocha i że on też ją kocha. Jakaż siła obdarzała takim darem dawania i przyjmowania miłości? On był smokiem z urodzenia i wyboru. Lecz ona zawsze potrafiła nie przejmować się tym i umiała zawładnąć smokami.

- Niech cię diabli!

Zamarł bez ruchu, zszokowany patrzył, jak targały nią gniew i ból. W przyływie gniewu - na siebie, za to, że była tak głupia, na Chrisa, za to, że był mężczyzną, którego pokochała —sięgnęła po rzecz, która zdawała się uosabiać jej ból.

Cisnęła o ścianę miedzianą ramką. Roztrzaskane szkło rozsypało się po podłodze.

- Cieszę się, że to zrobiłaś - odezwał się. Drżącą dłonią ujął jej podbródek. -I mam nadzieję, że nie będzie cię to więcej dręczyć. Bo ty nie jesteś ciocią Izzy, a ja – moim dziadkiem i cokolwiek wydarzy się między nami, nie będzie miało nic wspólnego z nimi. Liczymy się tylko my. Ty i ja.
- Przyciągnął ją bliżej i nachylił usta do jej ucha. - Dlaczego nie odpowiadasz?

Bo słyszała to, czego nie mówił, to, czego nie obiecywał. Bo gdy przytulała się do niego, obejmowała go, czuła jego siłę, nie ufała już sobie samej.

- Chcę zostać sama - szepnęła.

Wyczuła jego napięcie.

- Dziś możesz mnie odesłać - powiedział. - Ale nie będę trzymał się z daleka. Nie możesz zamknąć przede mną drzwi, Paisley.

- Czy zauważyłeś, jak pewne są smoki tego, że przez swój urok, podstęp czy walkę, uda im się osiągnąć to, Czego pragną? - Owinęła się szczelniej bluzą pizamy, drżała. - Chris, możesz mnie oczarować, i możesz mnie też, o jakże łatwo, omamić. - Spojrzała na podłogę, na roztrzaskane szkło, pękniętą ramkę, smukłą, czarną cygarniczkę. Podniosła na niego wzrok. - Ale ani na chwilę nie mogę zapomnieć, że ten sam ogień, który ogrzewa i kusi, może także palić. - Odwróciła od niego twarz, od piękna, i ciepła, i pokusy. - Chcę zostać sama.

Długo jeszcze siedziała na blacie, po tym, jak drzwi zatrzasnęły się już za nim. Gdy wreszcie położyła się do łóżka, jej sen był niespokojny.

Następnego ranka przyklęła na podłodze, by pozbierać rozbite okruchy szkła i swojego życia. Dopiero wtedy zrozumiała słowa, których znaczenie tak długo było dla niej ukryte. Dopiero wtedy zrozumiała, jaką misję miała wypełnić, by stary skandal mógł odejść wreszcie w niepamięć.

Patrząc w lustro, Paisley zobaczyła w nim odbicie nieznannej twarzy.

- O wielkie nieba!

Także Lexie przyglądała się jej, nie tyle może ze zdumieniem, co z przerażeniem.

- Wyglądasz... inaczej. - Ujęła kolejny kosmyk włosów Paisley i spryskała go lakierem do włosów, po czym odeszła kilka kroków, by przyjrzeć się swemu dziełu. - Jak kropla słonecznego blasku na czarnym tle.

- To cień —powiedziała Paisley. Jej rzęsy były jedynie lekko przyciemnione, oczu nie podkreślała jak zwykle mocna ciemna kreska, a usta pokrywała jasnobrzoskwiniowa pomadka. - Czuję się, jakbym była kimś innym.

Lexie obrzuciła ją taksującym spojrzeniem.

-Zdecydowanie nie przypominasz już cioci Izzy - zauważyła, pomagając Paisley naciągnąć sweter i poprawić zwisający z lewego ucha kolczyk.

O to chodziło - powiedziała Paisley, wślizgując się w skórzaną kurtkę Lexie i wsuwając stopy w jej o pół numeru za duże buty. Lecz największe wątpliwości wzbudzała w niej obcisła minispódnica i czarne skarpetki. -Nie mam najładniejszych nóg, niestety, wiesz o tym.

- Twoje nogi są znakomite. Wyglądasz bajecznie. Musisz się po prostu przyzwyczaić do tego i to wszystko.

- Ludzie będą się gapić.

- Nikt się nie będzie gapił. Jest ci w tym dobrze. Paisley napotkała w lustrze wzrok siostry. Jeden fakt

nie budził zastrzeżeń: w głębi duszy mogła czuć się jak szalona mieszkanka Wysp Borneo, lecz na zewnątrz będzie tylko jedną więcej twarzą w nowojorskim tłumie. Ale z Connecticut sprawa była trochę inna.

- Czekaj. Jeszcze nie skończyłyśmy. - Lexie przetrzasnęła szufladę stojącego przy łóżku nocnego stolika i wydobyla z niej walkmana i słuchawki. - Całkowicie niezbędne.

- Ze względu na wygląd?

- Ze względu na bezpieczeństwo. W metrze zakładasz to na uszy, zamykasz oczy i nikt cię już nie zaczepi.

Paisley wepchnęła magnetofon do jednej z obszernych kieszeni kurtki.

- Skoro tak mówisz. - Już miała wychodzić, gdy zobaczyła wciśnięty w kosz na śmieci cały kłęb plastikowych toreb po zakupach.

- A to co? Czyżbyś wykupiła połowę nowojorskiej wiosennej kolekcji?

- Och, prawie nie zwracam uwagi na te rzeczy. Wychodzę na zakupy, by oderwać się od domu i tego całego zamieszania związanego z moją inauguracją. - Lexie pochyliła się i z niezwykłym przejęciem zaczęła poprawiać sznurowadła. Ale nie udało jej się ukryć pokrywającego policzki rumieńca. Nagle wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy. - Wiesz, zdecydowałam się, że kiedy już skończy się sezon i oczekiwania rodziców będą spełnione, może spróbuję trochę odpocząć. Zrezygnuję na jakiś czas ze szkoły.

- Zrezygnujesz ze szkoły? Oszalałaś?

Lexie znieruchomiała.

- Nie. - Zatopiła spojrzenie w oczach siostry i Paisley ujrzała po raz pierwszy nie blady, delikatny błękit lecz gorące, ciemne płomienie. - Noszę przecież nazwisko Vandermeir.

- To niebezpieczne słowa, kochanie - westchnęła Paisley. - Muszę już iść, Lexie - powiedziała miękko. - Najpierw muzeum, potem Connecticut, a potem może, jeśli będziesz miała ochotę, porozmawiamy.

Nagle Lexie mocno chwyciła Paisley w objęcia.

- Kocham cię, Paisley. Wiesz o tym, prawda? Kocham cię.

- Oczywiście, że wiem. Ty i ja, głuptasku. Prolog i epilog klasycznego skandalu Vandermeirów. - Paisley odwzajemniła uścisk siostry. - Też cię kocham, Lex.

Czekając na Lydię, Chris przemierzał biały, pluszowy dywan w przytulnym apartamencie Smythe'ów. Praktycznie wyrósł tutaj. Gdy byli jeszcze dziećmi, razem z Lydią spacerowali w sąsiednim parku w poszukiwaniu przygód. Później, gdy wszyscy wokół nich zdawali się być dotknięci syndromem dojrzewania, dla niego i Lydii ich przyjaźń stała się prawdziwym azylem. Zanim jeszcze zaczęli się na poważnie spotykać, Chris odczuwał zawsze ulgę mając przy boku Lydię zamiast którejs z tych głupawych idiotek, jakie zwykle towarzyszyły jego przyjaciółom.

Przyjaciół. Właśnie tym była dla niego Lydia. Ale teraz pragnął czegoś więcej. Czegoś przejmującego dreszczem. Czegoś wspaniałego. Czegoś wprowadzającego zamęt. To na pewno nie było łatwe. I miało swoje imię.

Paisley.

- Kit.

Obrócił się, by ujrzeć rozpromienioną Lydię. Jej świeżo umyte i obcięte włosy okalały twarz jasnym półkolem. Ujął wyciągnięte ku sobie ręce. Pełen poczucia winy odwzajemnił jej uśmiech.

- Lydio.

- Czy wyglądam dość cywilizowanie? - zapytała, obracając się na pięcie, by zademonstrować wełniane spodnie i jedwabną bluzę, klasycznie skrojone i znakomicie podkreślające jej smukłą sylwetkę. A potem uniosła dłoń - paznokcie wciąż miały nierówną powierzchnię, choć widać było, że starała się temu zaradzić. —Przynajmniej próbowałam.

Wciąż uśmiechała się do niego, a on wciąż jeszcze trzymał w dłoni jej rękę i po raz pierwszy w życiu czuł się niezręcznie w towarzystwie Lydii. Czy powinien ją pocałować czy nie? W policzek? Szybkie cmoknięcie w usta?

Odwróciła się i podbiegła do barku.

- Napijesz się czegoś? - Pokręcił głową, więc przygotowała jedynie dla siebie szklanek wody mineralnej z lodem.

- Lydio, muszę z tobą porozmawiać. Uniosła szklanek do ust i zaśmiała się.

- Zaskoczyłam cię, prawda? Powinłam przynajmniej wspomnieć coś o ślubie, zanim zaczęłam go planować. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Myślę, że po prostu zmęczenie. - Wzruszyła ramionami, bawiąc się pływającym w szklance lodem. Podeszła do okna.

- Lydio - powiedział cicho, ogarnięty nagłymi wątpliwościami.

Wiedziała, czy nie? Zachowywała się tak dziwnie, tak zupełnie nie w swoim stylu. Zauważył to już na lotnisku, a wtedy nie mogła jeszcze wiedzieć...

- Lydio, czego naprawdę chcesz ode mnie? - „Co jestem ci winien?” właściwie tak powinien był się zapytać.

- Od ciebie? Co za dziwne pytanie. - Wciąż unikała jego wzroku. - Jesteś jedyną osobą w moim życiu, która zawsze dawała mi to, czego pragnęłam: możliwość bycia sobą, czas na odnalezienie siebie, nie wiem, co jeszcze. Co za dziwne pytanie - powtórzyła.

- Jesteś mi bliższa niż ktokolwiek na świecie. Gdyby ktoś cię zranił, wystarczy jeden telefon, abym zaraz znalazł się przy tobie, by cię obronić. Wiesz o tym?

Wskazała ręką rozciągający się w dole park, gdzie wśród drzew górowała smukła wieżyczka. - Jak w Zamku Belwederskim? Kiedy broniłeś mnie przed smokami, gdy ślęczałam nad gablotami w Muzeum Historii Naturalnej? - Zaśmiała się. - Mówiąc prawdę, Kit, każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem tylko dlatego, że uwielbiałeś wspinać się na wszystkie głazy w parku, udając, że były piramidami, i przyglądać się obeliskom i starym szczątkom, aż twoje oczy zachodziły łzami... a ja chętnie odgrywałam rolę uwięzionej w pałacu dziewicy i bawiłam się w chowanego w Ogrodzie Szekspira.

Chris przyglądał się jej. Więc w ten sposób to zapamiętała... i miała rację. Jak bardzo się od siebie różnili. On wspominał długie, spędzone razem godziny, przeżywane wspólnie przygody. Niech Lydia, naukowiec, zachowa dla siebie tę własną dokładniejszą wizję przeszłości.

- Tak, najwyższy już czas, by się pobrać. - Odwróciła się do niego z rozjaśnioną twarzą. - Czy nie zwodziłam cię już dostatecznie długo? - Pochyliła się, ujmując jego dłonie. Ręce, w których trzymała dotąd szklanke

były wilgotne i zimne. - Czyż nie jest już najwyższy czas, byś zrobił ze mnie uczciwą kobietę, Chris?

- Zawsze nią byłaś, Lyd.

Nagle zaczęła rozumieć, że dzieje się coś, czego nie zaplanowała.

- Co się stało? Wykrztuś wreszcie to, co chcesz mi powiedzieć.

- Właściwie - mruknął - wszystko robię, by tego nie mówić. - Wziął głęboki oddech i zmusił się, by spojrzeć jej w oczy. - Nie mogę cię poślubić, Lyd.

Jak udało się jej tak spokojnie siedzieć i patrzeć na niego? Jakby nie rozumiała go, jakby nie mówiła tym samym językiem?

- Chcesz powiedzieć - odezwała się wreszcie z rozpogodzoną na nowo twarzą - że nie możesz mnie poślubić tak prędko? Ale ja nie chcę, żeby zaraz... Jest mnóstwo czasu...

- Nie. - Na jej twarzy znów dostrzegł zmieszanie. - Chciałem powiedzieć, że nigdy nie będę mógł cię poślubić.

Zmieszanie przerodziło się w zdumienie.

- Mówisz poważnie? Przymknął oczy.

- Poważniej niż kiedykolwiek. Przepraszam.

- Ale Ch-Chris - zająknęła się. - Jesteś po prostu wytracony z równowagi z powodu tego zamieszania z Paisley.

Otworzył oczy.

- Wiesz?

- Oczywiście, że wiem. I nie przejęłam się tym ani odrobinę. Dziwię się, że mogłeś myśleć inaczej.

- Lyd, mylisz się. Oboje myliliśmy się - co do siebie.

W jej wzroku wyczytał oskarżenie.

- Straciłeś głowę, jak chory z miłości nastolatek pod wpływem chwilowego zauroczenia.

- Nie zauroczenia - powiedział miękko. - Miłości.

Cofnęła się zszokowana.

- Wszystko robię w odwrotnej kolejności. Ty powinnaś była dowiedzieć się pierwsza, że do ślubu nie dojdzie, lecz najpierw powiedziałem o tym Paisley. Przepraszam - ciągnął dalej, zanim Lydia zdążyła mu przerwać. - I przepraszam za to, że nie zerwaliśmy naszych zaręczyn wiele lat temu. Lyd, zasługujesz na kogoś, kto będzie stał przy twoim boku, dzieląc z tobą zwycięstwa i porażki. Przez nasze zaręczyny pozbawiłem cię tego wszystkiego.

- Nie chcę tego! - powiedziała. - Chcę kogoś, kto rozumie mnie, nie tłamsząc jednocześnie, nie wysuwając żądań i...

- Lydio, chcesz mnie, bo jestem wygodny.

Lydia przyglądała mu się w milczeniu i poczuł ogarniającą go falę gniewu. Jak mógł sprawić, by zrozumiała rzeczy tak delikatne i nowe dla niego samego?

- A niech to diabli, Lydio. Miłość nie jest bezpieczna i nie zawsze jest wygodna, ale...

Uniosła rękę, chcąc go powstrzymać.

- A więc między nami już wszystko skończone. Czy to chcesz mi powiedzieć?

Mógł jedynie skinąć głową.

- Nie chcę cię więcej znać. - Przełknęła głęboki łyk wody. - Zmieniłeś się i nie wiem, w którym momencie cię utraciłam.

- Nie utraciłaś mnie. Jestem tutaj, tak jak byłem zawsze. Właśnie to ostatecznie zrozumiałem, Lyd. Nic nie zmieniło się między nami, ponieważ zawsze łączyła nas tylko przyjaźń, nie miłość. Mam nadzieję, że pewnego dnia przyznasz mi rację.

Gwałtownie uniosła się z krzesła.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeśli już pójdziesz szukać swojej Paisley. Tylko zastanów się dobrze, co z nią robisz. Zostaw mnie samą, żebym... żebym mogła się z tym oswoić.

Chris podszedł do niej, przyciągnął do siebie i tym razem pocałował w policzek, nie zastanawiając się nad tym, czy było to właściwe.

- Powiedz mi - spytała cicho. - Czy istnieje jakaś szansa, że to po prostu kryzys średniego wieku?

Potrząsnął głową.

- Moja rodzina jest wyjątkowo długowieczna. Nie sądę, bym osiągnął półmetek wcześniej niż za jakieś piętnaście lat.

Odetchnęła głęboko.

- A więc, dzięki Bogu, że to Paisley będzie musiała się z tobą męczyć, a nie ja. Przejmuje mnie dreszczem myśl, jakim się jeszcze możesz stać.

- Powiedziałaś ważną rzecz, Lyd. Dobrze, że to powiedziałaś. Teraz wiem, że postąpiłem nie tylko zgodnie z sercem, ale i rozsądnie. I Paisley Vandermeir zasłużyła sobie na to.

Rozdział dziewiąty

- Sceneria jak ze świątecznej kartki - mruknęła Paisley, przyciskając do piersi skórzane portfolio. - Powinnam była wysłać tę piekielną rzecz pocztą. - Kiedy zadzwoniła, by dowiedzieć się o drogę, nie przypuszczała, że „trzeci dom w dół od stacji” będzie oznaczać godzinny prawie spacer. - Lexie, moja droga, te buty nie były przeznaczone na długie wędrówki.

Wiatr rozwiewał jej włosy, a drobinki śniegu unoszące się w zimnym powietrzu Connecticut od czasu do czasu wpadały w oczy.

Wciąż brnęła do przodu, stację Redding zostawiła już pół mili w tyle. Przemierzając ośnieżone pola, przechodząc pod drzewami o nagich gałęziach zastanawiała się, czy to możliwe, że od Nowego Jorku dzieliła ją tylko godzina jazdy? Minęła dwa maleńkie, niczym pudełka od zapalek domki, z rozświetlonymi oknami i zawieszonymi na drzwiach świątecznymi stroikami. Doszła do zakrętu i skręciła w boczną ścieżkę prowadzącą do domu, który miał być kresem jej poszukiwań. Poszukiwań, które rozpoczęły się w sali balowej hotelu Waldorf, gdzie po raz pierwszy znalazła się w ramionach Christophera Maitlanda.

Głęboko odetchnęła mroźnym powietrzem i ruszyła zwawo w dół ścieżki.

Duży, wiktoriański dom przysypany był śniegiem, nad kominem wesoło unosił się dym. Wyglądał jak dom z bajki... dom, w którym mieszkały smoki.

W powietrzu pachniało dymem i świerkiem i nagle poczuła grozę na myśl o misji, którą miała do wypełnienia. Czy nie wyrzekła się już dostatecznie wiele? Czyż nie utraciła cioci Izzy, czyż nie zrezygnowała ze

swoich wspomnień, czy nie oddała dziś rano nawet swej ukochanej, wyszywanej cekinami sukni?

I, dobry Boże, czyż nie straciła Chrisa?

Teraz, ta ostatnia pamiątka... Dlaczego musi oddać i ją?

Ponieważ obiecała.

Sięgnęła do ciężkiej, mosiężnej kołatki i zeszywniały-mi od mrozu palcami zastukała nią trzy razy. Jak też będzie wyglądał Christian Quincy Maitland III? Co też zostało z człowieka, którego kochała Izzy?

Pomarszczony mężczyzna w rozciągniętym swetrze, który przywitał ją w drzwiach, zdecydowanie nie był tym Quinem, którego pamiętała Izzy.

- Wejdz, wejdz - ruchem ręki zaprosił ją do środka. - Mam nadzieję, że spacer nie okazał się zbyt męczący.

- To tylko trzy domy od stacji. - Udało się jej powiedzieć między jednym i drugim szczęknięciem zębami.

Zamknął drzwi i wprowadził ją do salonu, gdzie przywitał ją trzaskający na kominku ogień.

- Usiądź blisko - zaproponował. - Szybko się rozgrzejesz.

- Dziękuję. - Usiadła na podsunętym jej skórzanym krześle. Obawiała się, że widząc jej ogromne podobieństwo do cioci Izzy, mężczyzna może się załamać. Lecz przeciwnie, wydawał się zupełnie tego nie zauważać siadając naprzeciwko niej i przysuwając bliżej mały herbaciany stoliczek.

- Mleko i cukier?

- Bardzo proszę. - Wdzięcznie przyjęła z jego rąk filiżankę i oplotła wokół niej zmarznięte palce.

- Cieszę się, że zgodziłaś się tutaj ze mną spotkać - mruknął Quin nad filiżanki i spod przymkniętych powiek zaczął przyglądać się jej z uwagą. - To drażliwa sprawa, ale jestem przekonany, że o tym wiesz.

- Raczej tak. - Starannie odstawiła filiżankę na stolik i sięgnęła, by wyjąć z portfolio znajomą fotografię. - Przykro mi, że wcześniej nie zorientowałam się, co miałam zrobić. Gdy ciocia Izzy powiedziała mi o ukrytym skarabeuszu, myślałam, że miała na myśli broszkę, którą trzymała w specjalnej skrytce swojej toaletki.

- Znam dobrze tę broszkę. Dostała ją ode mnie.

- Mogłabym nigdy nie domyślić się, o czym mówiła ciocia Izzy - powiedziała miękko - gdybym nie stukła ramki. - Odwróciła fotografię, ukazując prosty rysunek czarnego skarabeusza. A pod spodem kilka słów, które o mało na zawsze nie pozostały w ukryciu: „Ma być zwrócone Christianowi Quincy III w razie mojej śmierci, jak obiecałam. Izadora Vandermeir. ”

Paisley podała mu fotografię. Obserwowała, jak ujął ją w drżące dłonie i cisnął w ogień.

- Nie! - Paisley rzuciła się do przodu i patrzyła, jak na jej oczach ogień trawił widoczne na zdjęciu postacie.

Tak więc ostatecznie kończyły się skandale.

- Dlaczego? - spytała wreszcie.

- Izadora była piękną, młodą kobietą. Była niezwykle żywa, inteligentna i pewna siebie. - Spojrzał na nią, jego policzki były teraz lekko zaczerwienione. - Byłem zbyt słaby, by oprzeć się pokusie. - Potarł brodę, patrząc w zamyśleniu w ogień. - I jak głupiec zapłaciłem za zrobienie tego

zdjęcia. Byłem upojony sukcesem na giełdzie i głupi na tyle, by uganiać się za spódnicą młodej szeby, i...

- Szeby? - Jej głos był cichy i drżący.

- Tak. - Jego ton złagodniał. - Każdy z nas był wtedy szejkiem, a każda kobieta szebą. To był po prostu... taki zwrot.

Po prostu taki zwrot.

- Tamtej nocy przyłapali nas. Udało mi się wyprowadzić Izadorę, lecz gdy wróciłem do domu, zadzwonił telefon. Wyglądało na to, że fotograf wpadł na pomysł, jak zarobić trochę dodatkowej gotówki. Zagroził, że sprzeda zdjęcie brukowemu pismu, jeśli nie wykupię negatywu. Zapłaciłem, aż nadto chętnie.

- Ale dlaczego chciał pan dostać to zdjęcie? - spytała Paisley.

- Powiedziałem Izadorze, że chcę je mieć. Wyśmiała mnie.

Zapewniała, że zatrzyma je tak długo, jak długo będzie żyć. Nie miałem innego wyboru. - Położył głowę na oparciu krzesła. - Przez te wszystkie lata nigdy nie mogłem zapomnieć, że istnieje pamiątka największej pomyłki, jaką popełniłem w życiu.

A ja myślałam, że kochaliście się. Myślałam, że ty i ciocia Izzy...

Jak mogła być tak zaślepiona? Dlaczego tak śmiesznie łatwo uwierzyła w romantyczną historię, dlaczego właściwie doszukiwała się takiego skandalu?

- Co symbolizował skarabeusz?

- To egipski symbol nieśmiertelności. Bardzo popularny w tamtych czasach. Izadora w swoim zamięłowaniu do romantycznych historii opowiadała, że symbolizował naszą miłość. - Usłyszała jego krótki, pogardliwy śmiech. - I muszę wyznać, że kiedy zegnałem się z nią,

wydawało mi się, że porzucam wielką miłość swojego życia, żeby ratować rodzinę i honor. Mimo wszystko byliśmy wtedy młodzi. Wzięliśmy oczarowanie za prawdziwą namiętność. I, oczywiście, myliliśmy się.

Jak mógł wymawiać tak spokojnie te słowa, z których każde było jak dźwięk żałobnych dzwonów dla miotającego nią uczucia? Oczywiście, że Chris wybrał Lydię i wiele lat później będzie błogosławił swoją decyzję i zdrowy rozsądek. A gdzie będzie wtedy ona?

Zerwała się. Wyciągnęła ku niemu rękę, uprzejmię, bo nazywała się Vandermeir, a Vandermeirowie nie okazywali światu swego cierpienia. Gdy chciał odprowadzić ją do drzwi, podziękowała. Owionęło ją mroźne powietrze, błogosławiony chłód. Mróz przynajmniej wywoływał ból, który potrafiła zrozumieć.

Na dworze szalała wichura. Wiatr smagał ją po twarzy, lecz szła naprzód nie zatrzymując się, aż dotarła do drogi, z której ostatni raz mogła rzucić okiem na dom. Spojrzała za siebie i wiedziała, że musi opuścić to miejsce, ten dom z bajki, który dawał schronienie szczęśliwym „Quincym”, lecz w którym nie było miejsca dla Vandermeirów.

Ciocia Izzy z pogardą patrzyłaby na ten dom. Lecz nie ja. Ja pokochałabym to zielone miejsce, gdzie ludzie obdarzają się nawzajem miłością.

Skąd też przychodziły jej do głowy takie myśli, takie smocze rozważania o bezpiecznym domu?

Usłyszała odległy gwizd parowozu i ogarnęła ją panika, że może nie zdążyć na ostatni pociąg. Zaczęła biec jak szalona, aż poczuła w boku nagły ból.

Potknęła się i upadła. Kamień wbił się jej w kolano rozdzierając rajstopy. Podniosła się, przyciskając rękę do boku. Gwizd słychać było coraz bliżej.

Kiedy dotarła na stację, pociąg już odjeżdżał. Spostrzegła wyjeżdżający z parkingu samochód. Dwoje dzieci wierciło się na tylnym siedzeniu, kobieta prowadziła, mężczyzna się śmiał - rodzina przyjechała na stację po powracającego z pracy mężczyznę. Ogarnął ją żal i tęsknota.

„Smoki”, nie wolno jej o tym zapomnieć.

Oddychając ciężko, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, choć poczekalnia kusila ją z oddali obietnicą ciepła. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy zobaczyła tego mężczyznę; jego sylwetka ostro rysowała się w szarym tle, oświetlona padającym z góry blaskiem. Nie wiedziała, kim był, mogła się jedynie domyślać. To niemożliwe. A jednak... W świetle latarni błyszczały złote włosy Chrisa.

Zrobiła pierwszy, niepewny krok. Rozłożył szeroko ramiona. Postąpiła do przodu, aż znalazła się wystarczająco blisko, by wyciągnąć ręce i znaleźć się bezpiecznie w jego ramionach.

Bezpieczna pośród smoków?

Nagle poczuła gniew, że zjawił się właśnie w tej chwili, kiedy nie chciała, by widział jej ból.

- Niech cię diabli! - krzyknęła.

Otworzył usta ze zdumienia. Ramiona opadły mu bezsilnie.

- Co takiego?

Odepchnęła go.

- Niech cię diabli? Dlaczego musiałeś przyjechać właśnie tym pociągiem?

Minęła go i zaczęła wspinać się na schody, gdy schwycił ją za rękę i zmusił, by spojrzała na niego.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak ciężko jest ciębie odnaleźć?- zapytał. Wyjechał, by odnaleźć ją, a nie, jak sądziła, by odwiedzić dziadka.

Jego obecność tutaj nie była okrutnym zbiegiem okoliczności. Spytała głosem najspokojniejszym, na jaki umiała się zdobyć:

- Jak, na Boga, udało ci się mnie odszukać? - Nie „dlaczego”. Bała się spytać „dlaczego?”

- Anna. Lexie powiedziała jej, że wybrałaś się do Connecticut ubrana „nader skąpo”, bo nie chciałaś wyglądać jak ciocia Izzy. - Przyjrzał się jej, ogarniając wzrokiem wszystko, od skórzanej kurtki po odsłonięte kolana i gwizdnął. - Udało ci się to, znakomicie. Miało ci to dodać odwagi?

- Nie. Zbędny trud, mogłam sobie oszczędzić kłopotu - powiedziała gorzko.

- Dziadek Quincy, oczywiście. Kiedy powiedziano mi, że wyjechał na dzień do Connecticut i dowiedziałem się, że ty też miałaś tam być, połączyłem oba fakty i zostało mi już tylko nie tracić nadziei. - Spojrzał na nią, płatek śniegu na chwilę zatrzymał się na jej rzesach. -I modlić się.

- O co? O rozgrzeszenie? - Wyrwała ramię. - Byś mógł spokojnie rozpocząć nowe życie z Lydią!

- O czym ty mówisz? Powiedziałem już - nie żenię się z Lydią!

- Och, Christopher, na twoim miejscu dobrze bym się jeszcze nad tym zastanowiła. Spytaj dziadka. On ci powie. - Odgarnęła kosmyki z oczu. - Lydia znakomicie pasuje do tej scenerii. Z upodobaniem będzie się grzebać w błocie, sadząc cebulki lilii. Wychowując gromadkę smocznych dzieci i wychodząc po ciebie co dzień na stację i... i...

- I robiąc wszystkie te nudne rzeczy, które są dla ciebie wstrętne? - zapytał. - Tak bardzo tego nienawidzisz?

- Tak - skłamała, by ocalić jedyną rzecz, jaka jej jeszcze została - własną godność.

- Co chcesz, żebym zrobił? - Usiadł z determinacją na śniegu.

Chcę, by to się już skończyło, bym mogła odejść i w samotności lizać swoje rany - pomyślała. Oparła dłonie na biodrach i dumnie uniosła głowę.

- Chcę, byś poszedł tą drogą i pijąc z dziadkiem przy kominku herbatę, mógł porozmawiać z nim o waszych chybionych strzałach i niewypałach... i o pannach Vandermeir, które omal nie zniszczyły waszego spokojnego życia... i chcę, żebyś zostawił mnie samą i...

- I co wtedy? - Podparł brodę palcami. - Mów dalej. Słucham.

Oparła się o drewnianą ścianę i zmieszana spoglądała na niego. Wciąż jeszcze patrzył przed siebie w noc, czekając na jej dalsze słowa.

- Co robisz?

- Czekam, aż wyładujesz złość.

- Złość to wszystko, co mi jeszcze zostało. - Jej wargi drżały i z trudem powstrzymywała łkanie. - I naprawdę miałam nadzieję, że odejdiesz.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Wygląda na to, że obiecałem coś Lydii i nie mogę odejść, póki nie spełnię tej obietnicy.

Ogarnął ją żal. Nie szukał jej z tęsknoty. Przyjechał, ponieważ poprosiła go o to Lydia.

- Uważa, że postąpiłem dość obrzydliwie odwołując nasz ślub, gdy ona wreszcie zdecydowała się, byśmy go wzięli i mówiąc jej, że cię kocham, zanim zdążyłem powiedzieć o tym tobie. - Wyciągnął rękę, by pogłodzić kolano, a ona drżąca, stała przed nim bez ruchu.

- Sądzę, że teraz - wierzchem dłoni pocierał skórę w rozdarciu rajstop - mogłabyś zakończyć moje męki i powiedzieć mi, co o tym myślisz?

Przygryzła wargę i usiadła obok niego na śniegu.

- Chcesz, żebym wyznała, że zakochałam się w smoku? - Zaciskała mocno palce.

- Hm, jeśli patrzysz na to w ten sposób... to tak.

- Chcesz, bym ci zaufała, bym zaufała sobie... - Dlaczego jej głos załamywał się, a oczy wypełniły się łzami? I to jej, która tak doskonale umiała ukrywać przed smokami wszystkie te wrażliwe, bolące miejsca? - Kiedy oboje dowiedliśmy, jak łatwo ulegamy chwilowemu uniesieniu?

- Muszę przyznać, że sam dość niepewnie czuję się na tym gruncie.

Siedzieli ramię przy ramieniu obsypani topniejącym śniegiem, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- A gdybym przyznała się do tego, to co wtedy?

- Sądzę, że w przyływie szaleństwa, miałem nadzieję na gromadkę smoczych dzieci, dom na wsi i lilie pod oknem. Ale nie będę upierał się przy szczegółach. Mój dom w Chicago ma być właśnie remontowany i wydaje mi się, że można by zaprojektować bardzo ciekawe wnętrze. A jeśli nie lubisz Chicago, mógłbym przenieść się z powrotem do Nowego Jorku. Do diabła, mógłbym nawet odkupić dla ciebie kamienicę cioci Izzy. Jestem pewien, że przebiłbym najwyższą ofertę.

- A co ty na to, gdybym powiedziała, że chcę pojechać na studia do Paryża?

Gwałtownie odwrócił się do niej.

- Nie wiedziałem o tym.

- Ale... ale to byłyby tylko dwa lata, a potem miałabym dyplom, z którym mogłabym dostać pracę w każdym muzeum świata.

Zapadła między nimi chwila długiej ciszy.

- Zapomniałem - odezwał się w końcu. - Powiedziałaś kiedyś, że nie znasz lepszej definicji miłości niż to, co zrobiłem dla Lydii. Ale Paisley... - wstał nagle.

Niczego nie pragnęła bardziej, jak przerwać tę szaradę, powiedzieć mu, że była głupia i zapomnieć o wszystkim poza jednym słowem, które usłyszała - „kocham”. Lecz zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek, odezwał się ponownie.

- Według tego kryterium, tej definicji, chyba nie kocham cię dość mocno, czy rozumiesz mnie? Nie mogę pozwolić ci odejść, chyba że... - Uniósł głowę. Powietrze wokół nich pełne było napięcia. Jej serce zamarło. Sama była temu winna, ona i jej głupia duma. - Chyba że pojedę z tobą.

Teraz poczuła już prawdziwy zamęt.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wiem tylko, że walczyłaś z wieloma smokami przez wiele lat... i jeśli jest to konieczne, by ostatecznie je pokonać, nie mogę ci tego odmówić. Ale nie mogę też pozwolić, byś pojechała beze mnie. Kocham cię, Paisley, i to jest podstawa wszystkiego. Chcę być z tobą przez wszystkie dni naszego życia. I Paisley, byłoby mi lżej, gdybyś chociaż powiedziała, że... że też mnie kochasz.

- Ty głuptasie, okropny głuptasie - szepnęła miękko, gdy jego słowa wypełniły ją ciepłem. - Wystarczy tylko, byś zaśmiał się i już cię kocham. Przejdź przez pokój i już cię kocham. Bądź, oddychaj tylko i już cię

kocham. - Poczula wzbierające pod powiekami łzy. - Jestem tak przepełniona miłością, że nie umiem tego wyrazić słowami.

Nie wiedziała nawet kto z nich był pierwszy, kto szybszy, ani jak się to stało, ale nagle znalazła się w jego ramionach, śmiejąc się, płacząc i starając się łapać oddech wśród jego pocałunków i pieszczot.

Odsunął ją i otarł łzy.

- Nie znam francuskiego.

- Nie szkodzi - powiedziała z westchnieniem. -I tak nie mam ochoty jechać do Paryża.

- Ale myślałem...

- Do Paryża jechałam, by uciec przed smokami, Chris.

- A teraz żyjesz wśród nich - powiedział miękko. -Czy jesteś tego pewna?

- Mam swojego własnego, małego, zaczarowanego smoka. - Złożyła usta w „O” i wypuściła w zimne powietrze białe kóleczo, dokładnie tak samo, jak zrobiła to ciocia Izzy pierwszego dnia, gdy Paisley przyjechała, by zamieszkać wśród smoków.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - zapytał ze śmiechem.

- Nigdy nie przyzwyczaiałam się do brandy, ale ciocia Izzy była kobietą niezwykle wszechstronną.

- Prawdziwą diabolicą - zgodził się z Paisley.

- A ja byłam uczennicą nazbyt chętną. Jestem jedyną dziewczynką, o jakiej słyszałam, która musiała zerwać z nałogiem palenia w wieku dwunastu lat.

- Żartujesz!

Spuściła skromnie oczy.

- Zawsze byłam dzieckiem nad wiek rozwiniętym.

- Dokładnie tak, jak lubię. - Zaśmiał się, obrysowując koniuszkiem języka linię jej szyi.

- Chris!

Odsunął się i spojrzał na nią.

- Czy rozumiesz, co to oznacza? Koło zostało przerwane! Kobiety z Vandermeirów zawsze zakochiwały się w niewłaściwych mężczyznach, lecz nie ja. Zakochałam się w najbardziej odpowiednim mężczyźnie, jaki kiedykolwiek wyrósł na Manhattanie! Będę... musiała się z tym trochę oswoić.

- Hm, jeśli chodzi o ścisłość...

- Zawsze widziałam siebie z kimś skandalicznie nieodpowiednim, ale na szczęście myliłam się.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

Patrzyła na niego, odgadując jego wahanie.

- Co chcesz powiedzieć?

- Powodem, dla którego Anna zadzwoniła do mnie dzisiaj i dla którego dowiedziałem się ostatecznie, gdzie pojechałaś była Lexie. - Ujął w dłonie jej twarz. - W chwili, w której ci to mówię, twoja siostra jest w drodze do Taos w Meksyku, dokąd uciekła z szoferem twojej matki.

- Mario?

- Wygląda na to, że jej liczne wyprawy po zakupy były jedynie pretekstem do tego, co rzeczywiście działo się między nimi. On jest sfrustrowanym artystą i mają szalony, romantyczny pomysł, by przyłączyć się do jakiejś artystycznej komuny i żyć jak...

- W Nirwanie.

- Gdzie?

- Szuka Nirwany. - Paisley patrzyła w zaśniewane niebo, wypatrując gwiazdy, do której mogłaby skierować swoje życzenie. - Dobrze niebo, proszę, pozwól im to odnaleźć.

- Nie uważasz, że powinnaś ją zatrzymać?

Paisley oparła policzek na jego mocnym, ciepłym ramieniu.

- W skandalach Vandermeirów jest coś, czego wszyscy zdają się nigdy nie zauważać. Podczas gdy towarzystwo jest zawsze zgorszzone, kobiety z rodziny Vandermeirów, które były dostatecznie mądre i silne, by zrealizować własne marzenia, bez względu na to, co mówiliby ludzie, żyją potem szczęśliwie do końca swoich dni.

- Puść dla mnie kółeczko, Paisley. Puść dla mnie zaczarowane, smocze kółeczko.

Złożyła już usta, gdy jego wargi dotknęły jej, wypełniając zapachem zieleni. To były prawdziwe czary. Oczywiście, smocze czary.

Mógł to być szum wiatru, czy trzask poruszanych wichurą gałęzi. Mogło to być tylko wspomnienie z przeszłości. Nieważne. Lecz w powietrzu unosiły się słowa, które zawsze tam pozostaną:

„Brawo, mała szebo, brawo. ”